

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

BYĆ DZIAŁACZEM — NAUCZYCIELEM

TRUDNO chyba dziś znaleźć na wsi nauczyciela, któryby zdecydował się podtrzymać stanowisko kol. Przeszło z gromady Żolynia (pow. Łańcut). Przeszło uważa, że zna dokładnie swoje obowiązki, podpisał kontrakt na nauczanie łaciny, wsadził więc nos w Wergilego i mocno się zdziwił, kiedy go spytano co z kontraktacją w Żolyniu: „Gospodarki nie prowadzi, nie utrzymuję żadnego kontaktu z rolnikami” — oświadczył inspektorowi.



Foto: J. K. Maciejewski

Mamy już obecnie i w dużych gminnych wsiach i na małych dalekich gromadach dziesiątki tysięcy nauczycieli-działaczy społecznych. Z każdym nowym rokiem szkolnym przybywa wielu nowych, pełnych entuzjazmu nauczycieli, którzy z miejsca rzucają się w wir politycznego, gospodarczego i kulturalnego życia wsi. Zakładają świetlice, reżyserują sztuki na wiejskich estradach, agituja za wzmocnieniem kontraktacji, propagują maszynową gospodarkę, rozstrząsają na gromadzkich zebraniach plany gospodarcze, zasiadają w GRN-ach, Komitetach Sklepowych, zabiegają w powiecie o elektryfikację, pomagają przy obliczaniu dniówek obrachunkowych po spółdzielniach produkcyjnych.

ZA KRÓTKĄ KOLDRA?

Ale nasz młody, czy starszy kolega z nieznaną nam bliżej wsi, „zaorany” po uszy, wpłatany osobliście w istny labirynt konfliktów gromadzkich, odpowiedzialny częściowo za wykonanie gospodarczych planów, doglądający biblioteki i świetlicy, rozstrzygający żale chłopów, kierowane pod adresem GS-u, rozłożył któregoś dnia bezzadanie ręce i oświadczył, że nie da dłużej rady. Co więcej — powiedział może, iż zaniedbuje szkołę, nie do kształca się, pozostaje w tyle. I to będzie prawda, dotycząca wcale nie małej części nauczycieli pracujących na wsi. W końcu stwierdził sprzeczność pomiędzy jego zawodową i społeczną pracą, w której nie zawsze umie osiągnąć co trzeba. A przecież od niej odebrać się nie może, na pogłębienie zaś pracy zawodowej czasu nie starcza.

Pod tym względem bardzo znamienne wyniki przedstawił „Głos Nauczycielski”. O zbadań grupie 70 nauczycieli, uczestników Państwowego Kursu Pedagogiczno-Społecznego w Łodzi, autor artykułu dr Kąkol pisze: „39 proc. ... oświadcza, że przeczytali w ciągu roku mniej niż 10 książek (z dziedziny literatury pięknej i popularno-naukowej) to samo stwierdza 75 proc. nauczycieli z miasta. Mniej niż 10 filmów widział w ciągu roku 44 proc. nauczycieli ze wsi i 22 proc. nauczycieli z miasta, 40 proc. miejskich i 45 proc. wiejskich nauczycieli nie było w ciągu roku na żadnym koncercie, 60 proc. uczestników ankiety nie widziało nawet 5 przedstawień teatralnych w ciągu roku... 25 nie było w ciągu roku na żadnym odczynie — 18 nie oglądało żadnej wystawy — 38 nie brało udziału w żadnym zebraniu dyskusyjnym — 51 nie uczestniczyło w żadnym wieczorze świetlicowym...”

Trudności zatem, jakie ma obecnie do pokonania nauczyciel, występują równocześnie na dwu polach. W pracy zawodowej i społecznej. I tu i tam zagraża „pozostawanie w tyle”. Ta równocześnieść jest najbardziej groźna i zastanawiająca. Czyżby — jak mówią niektórzy nauczyciele — zastraszający się konflikt między pracą zawodową a pracą społeczną nauczyciela? Czyżby nauczyciel stał się teraz ową przysłówową „za krótką koldrą”, która albo nie okrywa nóg, albo ramion?

A przecież, jak uczył Lenin „szkoła poza życiem, poza polityką — to kłamstwo i obłuda”. Koldra nauczycielska — rozumując naśledzycy — powinna zatem starczyć i na szkołę i na politykę. A właśnie odczuwają ją obecnie jako przykrątką.

Porównajmy, koledzy, porównanie z koldrą, choćby dlatego, że jeśli mać trudności, to równocześnie i w szkole i poza szkołą. A najkrótsza nawet koldra osłoniłaby albo jedną albo drugą stronę.

Porównajmy, koledzy, teorię o konflikcie między pracą zawodową a społeczną. Cóż to bowiem za teo-

ria, która nie pomaga wyjść z trudności. Widać błędnie i fałszywie wyjaśnia Wasze położenie.

KONIEC Z OMNIBUSAMI

Szkoła nie poza życiem, nie poza polityką — tego uczuliście się w nowej Polsce w sposób szczególny. Warto tę drogę i te dzieje przypomnieć. Jak zaczynaliście? Po lekciach hajda na wieś! Do czego? Do wszystkiego! Byliście ojcami chrześnymi wszystkich kolejnych narodzin nowego na wsi. Dzielnie — wasza w tym ręka. Wyjazd na Ziemię Odzyskaną — agitowaliście. W społeczeństwie handlu — wy w Komitecie spółdzielni itd. itd. A spraw przybywało, wyrastały nowe instytucje, nowe zawody, wyrabiali się nowi przodownicy, nowi działacze, nowi specjaliści. Pogłębiała się walka klasowa, szy nieustannie przemiany ekonomiczne i społeczne, obejmujące całą gromadę, całą gminę. Na początku nie się bez Was obyć nie mogło. Byliście uniwersalni, wszystkim i wszędzie potrzebni. Przypomnijcie sobie jakie to w pierwszych latach nieważnie rwanie w nogach, jaki zapal, jak żywiołowo rozwijała się Wasza pomoc społeczna.

I teraz noszą Was nogi i tu i tam, i teraz nie brak Wam zapalu i teraz jeszcze — przynajmniej się — po dawnemu, partyzancko, w znacznym stopniu żywiołowo wszędzie Was pełno i wszędzie Was ciągną.

Ale teraz omnibus, jakim dawniej byliście z polityką, spotyka działacza — specjalistę w GS-ie, w GRN-ie, w kontraktacji, w SOM-ie i POM-ie, w bibliotece, w świetlicy gminnej, w ZMP, w Kole Gospodyń, w Ośrodku Zdrowia, w komitetach partyjnych itd. itd.

O czymże te przemiany mówią? O tym, że na naszej wsi rozwinięła się i dojrzała wola działacza społecznego, który jest przeciwnikiem przedwojennego, uniwersalnego apostoła. Nasz działacz ma określoną, konkretną bazę. Jest nią instytucja lub wyodrębniony zakres spraw. Dlatego przybywa nam działaczy w terenie. Przemieniając bowiem nasze życie, rozwijamy je i wzbogacamy. Oczywiście, nowi działacze nie zapominają wsi i gminy, jak figury na szachownicy. Ich siery działania zabiegają się, przenikają wzajemnie, układają się nie tylko w stosunki współzależności ale również nadzerności jednych nad innymi.

Nie zmienia to faktu, że dziś kiedy nam mówią: działacz, pyamy — w jakim zakresie? Kiedy nam mówią: praca społeczna — pytamy — czego konkretnie dotyczy?

W tych obrachunkach, koledzy, warto byłoby przyznać samokrytycznie, że taki wzór działacza nie wysiwe po wojnie kształtowali. Byliście często drożdżami rewolucji na wsi. Ale wszędzie tam gdzie nas wazymy fermentem wyrastała nowa instytucja, rośli równocześnie jej działacze i oni pragnęli nie czego innego, jak utrwalenia się nowej instytucji, jak zapuszczenia przez nią najgłębiej i najszerzej korzeni w terenie. Oni politykę społeczną i polityczny sens swej roli widzieli w tym, że robią coś określonego i wyodrębnionego. Wiedzieli dobrze, jak trudno ich odciągnąć „od swojego”. Śmieliście się nie raz z ich ciasnoty i wąskości. Mają takie grzechy. Ale to upórzywe zaszczerpanie nowego organu w życiu społecznym, jakie cechuje każdego z nich w POM-ie, w GS-ie, w Radzie, w Bibliotece itd., tworzyło nowy organ coraz bardziej niezbędny w życiu i w świadomości gromady i gminy.

Wysięcie natomiast, wchodzący często za drogę, która, wyprowadzając was ze szkoły rozwiłała się na wiele ścieżek. I bywaliście wszędzie ale dlatego o Was jako działaczy społecznych mówią po staremu — „nauczycieli... to działaczy”. Znaczy się działacz — „ogólnie biorąc”. A w szczególności, konkretnie w jakim zakresie? Sami często nie umielibyście na to pytanie odpowiedzieć.

I tu leży przyczyna Waszych obecných trudności, a nie w „za krótkiej koldrze”, nie w konflikcie między pracą zawodową a społeczną nauczyciela.

PIERWSZA PERSPEKTYWA — DZIECI I ICH MACIERZYSTE SRODOWISKO

„Ileż radości i satysfakcji daje praca nauczyciela w naszych warunkach, kiedy każdy talent, każde uzdolnienie znajduje nieograniczone możliwości rozwoju, kiedy każdy szlachetny poryw serca może być zrealizowany, a nie jest, jak to było przedtem, deptany przez ustrój wyższy i krzywdy społecznej. Umysł dziecięcy i młodociany — to świeża, płodna i wdzięczna gleba jeśli się ją umie kultywować delikatnie i troskliwie” (B. Bierut).

Takich warunków i takich perspektyw nie miała szkoła przed wojną. Waznemu bowiem zawodowi odebrana była wówczas skuteczność społeczna. Rozpoznawaliście i ożywiaście pierwsze znamiona uzdolnień, pierwsze porywy serca dziecięcego wiedząc, że już w najbliższych latach zostanie to wszystko zdeptane i zmarnowane. Wiedzieli o tym również rodzice waszych uczniów. Mieliście więc zawód ale nie było działania społecznego i nie było działacza oświatowego.

W nowej Polsce, w ustroju, w którym człowiek nie jest już deptany przez wyższy i krzywdę społeczną „każdy talent, każde uzdolnienie... każdy szlachetny poryw se ca mają nieograniczone możliwości rozwoju i realizacji”.

Oto przez co Wasza szkoła stała się nową, tak jak nowym jest POM, o którym mówicie, że wnosi nową technikę i organizację produkcji rolnej, nowe możliwości życia dla chłopów i jego rodziny. Oto przez co, Wy w swoim zawodzie, uzyskaliście doniosłość społeczną, jakiej w dziejach naszego narodu nigdy dotąd szkoła podstawowa nie miała i mieć nie mogła.

Dziś wasza szkoła staje się upragnioną i potrzebną jak fundament i dla tych, którzy będą tworzyć nowe życie na wsi, na miejscu i dla tych, którzy na wielki plac budowy kombinatów i gigantów pędzą bądź wprost ze wsi bądź poprzez wyższe uczelnie.

Dwa też przed Wami stoją zadania wobec tej dzieciarni, objawiającej pierwsze znaki uzdolnień, zamiłowań i porywów serca.

Jedno — to troskliwe i delikatne wspomaganie jej w zakorzenieniu się w macierzystym środowisku. Bo ter proces wrastania w gromadę, w rodzinny teren, jest również nowy i do żadnego z dawných, opiekanych przez ludomanów i agrarystów — niepodobny.

Uczennica IV klasy szkoły podstawowej w Podwisoku (pow. Celn) — Natalia Jarosz zobowiązuje się wyhodować i zakontraktować prosiaka, ponieważ — jak pisze — „chcę się przyczynić do wykonania Planu 6-letniego”.

Dzieci z Chociwala (pow. Stargard) zakontraktowały len z 1 ha dawných nieużytków. Z pomocą odwozły go do roszarni i z dumą przywoziły materiały na stroje dla artystów swego szkolnego teatru. Każdego września ciągną w różnych stronach kraju, do magazynów GS-ów najmłodsi plantatorzy i hodowcy. Pomidory, ogórki, niekóre owoce, — wszystko to pomie-

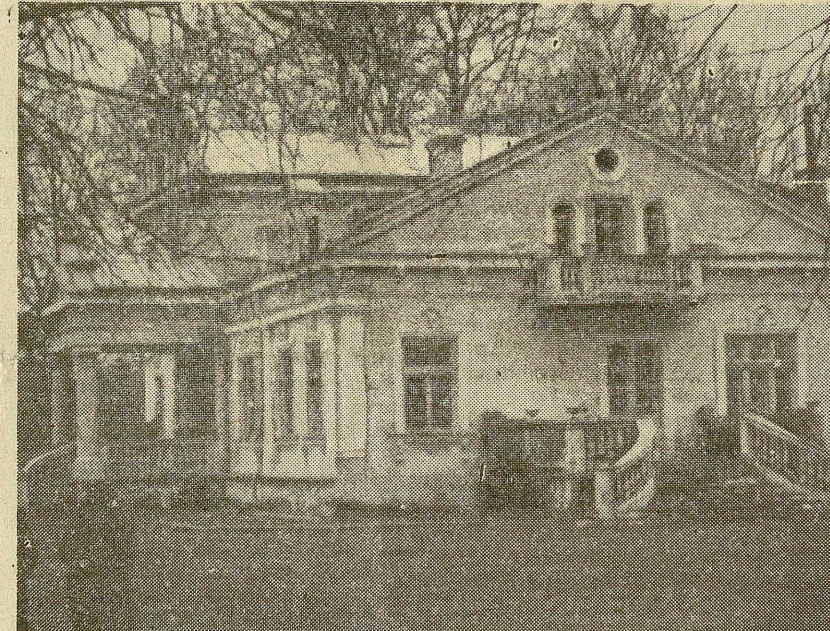


Foto: J. K. Maciejewski

ści się bez trudu na jednym wozie, ale nie o ilość przecież w tym wypadku chodzi. Szkolne ogródki, grządki, pieczeniowice obrabiane przez poszczególne kolektywy klasowe, niewielkie poletki, kilka zagrodników buraków, i ha lnu — mają tu inną wymowę.

Obserwujemy tu politechnizację nauki, jej ściśle powiązanie z życiem. Dziecko śledzi przebieg wegetacji określonych roślin, nabywa rzeczywistych umiejętności pielęgnowania lnu, buraka, czy warzyw. A poza tym zawstydzona niekiedy, a prawie zawsze aktywizująca starszych do wykonania obowiązków wobec państwa. Tym ekonomicznym zjawiskom towarzyszy odpowiednia naddbudowa. Dziecko idzie za produktem na socjalistyczny rynek, otrzymuje potrzebne szkole artykuły, uczy się pojmowania spójni ekonomicznej, poznaje istotę naszego handlu.

Ubiegły rok szkolny powiaty dzieci ze wsi Wizny w łomżyńskim wypracowaniem pod tytułem: „Jak mój ojciec wywołuje się z obowiązków wobec państwa?” Nie trudniłoby wyobrazić zażenowania ojca, któremu własne dziecko dokładnie rozlicza plony i stwierdza w zeszycie, że nie wszystko jest w porządku. Przepenetrowana, wywołana — jak to mówią „na nice” — przez dzieci gromada Pawłowa (pow. Braniewo) odstawiła zboże w 120 proc.!

Sprawa obowiązków ojca wobec państwa staje się przedmiotem dumy młodego harcerza. Oto wywołane, nowe i szlachetne ambicje dzieci! Nauczyciel Wierzbicki z grom. Polchwa, pow. Puck wydał właśnie kolejny numer „Bylskawicy”, poświęcony skupowi zboża. Roznosią ją po domach harcerze, którzy współzawodniczą, walcząc o upatrytyzowanie rodziców.

Szkoła przesuwa wiek współodpowiedzialności społecznej za losy gromady z „zetemowskiego” na „harcerski”. Od najmłodszych lat odbywa się „umiejętne rozbudzenie” w młodocianych sercach i umysłach bezinteresowności i szlachetnej rywalizacji, „radości z pracy dla ogółu” (B. Bierut).

Lecz to wciąganie młodzieży w sprawy gromady trzeba upowszechnić i wyodrębnić na nowy, wyż-

szy etap, skąd będzie ona mogła sięgnąć okiem daleko poza rodziną i wioskę — na cały budujący się kraj.

Taki jest dziś charakter i kierunek wrastania w gromadę. W wzmożonej ojczyźnie zwycięska rewolucja i budownictwo socjalistyczne pobudzają twórczo do tego nowego życia w rodzinnych stronach również nasze najmłodsze pokolenie i szkolną młodzież. Szkoła stoi u początku tego procesu. Pracując na „świeżej, płodnej i wdzięcznej glebie” i ma za zadanie „kultywować ją delikatnie i troskliwie”. Świeża jest ona przez nowe warunki życia rodziny chłopskiej, której nie grozi już głód, brak pracy, wyzysk i poniżenie społeczne. Świeża jest ona przez to, że nie podobna do dawných pokoleń, ponieważ ma przed sobą rozwój, przyszłość, szczęśliwe jutro.

I dlatego trzeba ją „kultywować” delikatnie i troskliwie”. W przeciwnieństwie do warunków przedwojennych, kiedy szkoła pozbawiona była sprawdzianów skuteczności i celowości swej pracy. Kiedy praktycznie biorąc nie odpowiadała za los tego, kto wchodził w życie z jej wyposażeniem. Co to wyposażenie miało znaczenie w chłopaku czy dziewczynce i na ile zaważyło na ich przyszłości? Od tej odpowiedzialności ustrój kapitalistyczny zwalniał nauczyciela, zwalniał, aby tym perfidnie ukryć politykę wychowania młodzieży w pokorze wobec ustroju nierówności klasowych, aby ukryć prawdę o warunkach przyszłego życia, w którym nawet to, co dała szkoła, musiało się okazać bezużyteczne.

Uczestnicząc w wielkim dziele budzenia miłości do stron rodzinnych, do własnej gromady nauczyciel staje się dziś działaczem tu, w szkole, wśród dzieci!

NIECH POZNAJĄ SWĄ GMINĘ

Ale dla osiągnięcia tego tytułu potrzebne są dwie nieprzerwane prace. Kontakt z gromadą i gmina oraz pogłębianie swej wie-

dy fachowej, rozszerzanie horyzontów swej kultury i politycznej świadomości.

Jakże dzieci mają pisać o ojcu w skupie zboża, o pomocy sąsiedztwa, o obrocie towarowym swej gromady, jakże sporządzać bilanse w GS-ie, jakże wyliczać dniówkę obrachunkową w spółdzielni produkcyjnej, jak zakładać kółka Mieczysławskie, jak zapraszać na pouczające gawędy mistrzów urodzaju — gdyby nauczyciel, jak kol. Przeszło „nie utrzymywał kontaktu z rolnikami”? Czyżby więc znów... osobna praca społeczna nauczyciela? Tak, praca społeczna, ale nie osobna, bo ta, dotąd najbardziej rozpowszechniona, polegała w gruncie rzeczy na tym, że nauczyciel chciał zastępować aktywistów w gromadzie i gminie, zamiast wyprasać obok nich i wśród nich na aktywistów oświatowych.

Gromada i gmina to dla nauczyciela, inaczej niż dla rolnika, ale również wielkie pole różnych urodzajów i zbiorów. I on z chat, ze świetlic, z Gminnej Rady, z GS-u, z POM-u, z PGR-u, od aktywistów, skąd się da, przynosi do szkoły, dla swych dzieci co dnia te bieżące i wszechstronne politykę swojego terenu. Bez tego tworzący jego praca wychowawcza będzie fałszem i obłudą. Będzie martwą i formalną. Jeszcze za słabo wiąże nauczyciela szkołę z instytucjami i działaczami gromady i gminy. A przecież są to nowe instytucje i nowi ludzie. Instytucje rozwoju doświadczenia i kultury na wsi, ludzie, którzy wyrosli ze wsi, których wiedza, zapal i poświęcenie obrócone są dla dobra naszej wsi. Dlatego wycieczki do POM-ów, GS-ów, do Rady Gminnej, do Biblioteki, do przodowników, — tę metodę pogłówną wychowania do wrastania w życie terenu — trzeba rozwijać. Trzeba aby szkołę odwiedzały mechanicy, i traktorzyści z POM-ów, brygadierzy z PGR-ów i spółdzielni produkcyjnych. Niech dzieci ich posłuchają, niech dowiedzą się o przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej, jak żyje gromada w zespoleniu, niech o handlu powie im kierownik GS-u, o rozwoju „najbliższej ojczyzny” — przewodniczący GRN-u.

A książki czytać, a pogłębiać swą wiedzę i kulturę, aby rozumieć co-

raz lepiej rozwój i przemiany całego naszego narodu! Bo jakże bez tego rosnąć może być nauczyciel działaczem społecznym wśród wielkiej gromady dzieci szkolnych?

Przed wojną w obliczu nędzy i ciemnoty na wsi nauczyciel był „panem” z innego, wyższego świata. Dziś wieś rusza swój świat z posad. Nauczyciel ma nie tylko prawo ale obowiązek przodować jej na tej drodze. Ktoż, jak nie on, powinien rozciągać perspektywy przyszłości, umieć je uogólnić i konkretyzować. Dziś wieś narzuca mu obowiązek podciągania się, obowiązek dorabiania kultury, która by miała siłę oświecać walkę o przemianę. Nauczyciel o małym pływaczku kultury pozostałby na zapieku, stałby się komiczną figurą.

DRUGA PERSPEKTYWA — W KRAJU

Drugie zadanie nauczyciela-działacza polega na wprowadzeniu dzieci w kraj, w nasz naród socjalistyczny, w nasze suwerenne państwo.

Praktyczne zadanie — pójdzie część młodzieży do szkół zawodowych, na uczelnie, pójdzie na „wielki plac budowy” do pracy przemysłowej.

Na tę drogę powinna już wprowadzać szkoła. Akcje werbunkowe do szkół zawodowych i do fabryk dobijają do naszych wsi rozmaicie ale zawsze częściowo. Trzeba aby już w szkole zostało rozgryzione tajemnicze a od wieku znane chłopom słowo „niziniar”. Kiedyś był po prostu dla wsi jeden od wszystkiego „pan niziniar”. Dziś trzeba dzieciom odkryć pod tym tytułem perspektywę tysięcy zawodów produkcyjnych. Trzeba ich wyobrazić, uzdolnienia i pierwsze porywy szlachetnego serca wprowadzić w nieznaną dotąd w historii naszego narodu gigantyczny rozwój industrialny. Zapalić ciekawość dziecięcą i młodzieńczą do szukania „swojego zawodu”, bez którego — niech im się zdaje — nie byłoby socjalizmu. Bo wraz z wielkim planem i wielką realizacją zbudowania Polski potężnego przemysłu i powszechnego dobrobytu, rozwijać się winna — a gdzie zaczynać jak nie wśród dzieci — duma z doniosłości i nieodzowności każdego zawodu, każdej starej i nowej gałęzi produkcji i nowej dziedziny pracy.

Statystyki wykazują, że odpływ do wszystkich typów szkół technicznych odbywa się mniej więcej prawidłowo i równomiernie. Wielka w tem również zasługa nauczycieli. Ale sukcesy niepełne. Bo sprawdzianem wychowania do sojuszu robotniczo-chłopskiego nie może być tylko wyszuka do produkcji przemysłowej. Pełny sprawdzian daje nam dopiero takie nauczanie, które porywem odpływu wyjaśnia jej celem — przypliwem. Rosnąca klasa robotnicza i rosnący przemysł to proces, który się dokonywa w nieprzerwanie rozwijającej się i potężniejącej spójni między miastem i wsią. Zatem częstotny odpływ młodzieży wiejskiej do szkół zawodowych i produkcji przemysłowej to nurt, który wraca i w powrocie wciąż wzbiera ty siłą pomocy technicznej i kulturalnej, która ma znieść przeciwnieństwo między zafaloną wsią a przodującym miastem.

Jeżeli tego nie będą rozumiali dzieci, wówczas ta część, która ma wyjść ze wsi, będzie ją porzucać w pogoni za oświeceniem i doradzie już lepszym losem. A my przecież oczekujemy od niej zapalu, jaki powinna wnieść z sobą do przemysłu, aby wzmoż walkę o przemianę i rozwój wsi.

SAM PRZECIW SOBIE?

I sprawdzianem tego zapalu, a więc i głęboko politycznego wychowania przez szkołę, jest prawidłowość odpływu do szkół, z których odbywa się bezpośrednio powrót na wieś i w teren. A w świetle tego sprawdzianu nauczyciel-działacz nie stanął jeszcze na wysokości zadania, mówiąc ściślej — stracił orientację i osłabił politycznie swą rolę wychowawcy. Cóż bowiem mówi statystyka? Oto np. procent przychodzących spośród młodzieży matorolnej na studia pedagogiczne spadł z 7,1 (1951 r.) na 4,4 (1952 r.) a podobnie jest ze studiami humanistycznymi, nie inaczej też z rolniczymi. Brak nauczycieli, bibliotekarzy, świetlicowców — to hamowanie rozpędu naszej rewolucji kulturalnej na wsi. Łuki w kadrach agronomów, zootechników i leśników — to osłabienie tempa gospodarczej rewolucji.

A sojuszu robotniczo - chłopski, a spójnia między miastem i wsią, a gigantyczne budownictwo bazy przemysłowej w kraju obrócone są przeciw na rzecz całkowitego wydzierżawienia wsi z ponurą przyszłości zafaloną i dopomożenia jej w walce i pracy nad przebudową ustroju agrarnego.

Czyżby nie dość to rozumieli nauczyciele? Czyżby brakło im odpowiedniego bogactwa wiedzy praktycznej i teoretycznej? Czyżby brakło im czułości politycznej w wielkim dziele wychowania młodzieży, która odejdzie w kraj i tej, która zostanie na wsi?

Fakty są faktami. A mówią one o tym, że nauczyciel nie dość bije się o pogłębienie rewolucji kulturalnej na wsi. Bo nie bije się o wzrost kadr działaczy tego typu, do któ-

rego sam należy. Nie bije się o przystość nauczycieli, bibliotekarzy, świetlicowców! A nie bijąc się dość silnie osłabia nie tylko autorytet własny — działacza oświatowego, nie tylko osłabia skuteczność walki jaką toczy armia nauczycielska na przestrzeni 40 tysięcy wsi w Polsce ale osłabia wiarę i nadzieję ludzi co do tempa przemian, jakie mają dać kulturę chłopu na wsi i lepsze życie.

Milion ludzi pracuje na budowach tysięcy fabryk, które przemieniają nasz kraj z rolniczego w przemysłowo-rolniczy i w ten sposób dokonują tej wielkiej przemiany życia, jakiej wieś oczekuje. „Bez tej rewolucji gospodarczej — mówił Prezydent Bierut — nie mogłoby być rewolucji kulturalnej, ale też nie zrealizujemy rewolucji gospodarczej bez rewolucji kulturalnej”.

Nie trzeba aby nauczyciel zastępował innych aktywistów w terenie ale trzeba, żeby pomażnał kadry aktywistów oświatowych.

Abym budował potęgę szkoły i rozszerzał jej wpływ. A pierwszym placem dla tego wielkiego zadania jest jego szkoła i w niej dzieci. Tu, jeśli dzieci dobrze pojmą sojuszu robotniczo-chłopski, jeśli rozumieją, że w fabrykach i na nowych budowach robotnicy przekraczają normy i wznoszą tempo po to, aby przyspieszyć wspaniałe jutro wsi — wówczas nauczyciel zostanie wsparty nowymi kadrami działaczy oświatowych i kulturalnych, aby tym mocniej i szerzej przez rewolucję kulturalną łączyć wieś z rewolucją gospodarczą i zrealizować ją w terenie.

TRZECIA PERSPEKTYWA — KRĄG RODZICÓW

Mamy już wielu nauczycieli, którzy zarzucili równocześnie, pochłaniając cenny czas rolę buchaltem w GS-ie, bibliotekarzy, przewodniczących kół ZMP, odbiorców zboża na punkcie skupu, słowem rolę przyrzeczonych omnibusów na wieś społeczną. Ale nie znaczy to, że okopali się w szkole, jak to uczynił kol. Przeszło.

Przeciwieństwo, wyszli ze szkoły na wieś. Ale już nie po staremu, nie do wszystkiego.

Ten drugi krąg dopełnia zadania nauczyciela-działacza. A wraz z zespołem nauczycielskim szkoły, z bibliotekarzem, świetlicowcem, kierownikiem kina i radiowęzła wskazują na potęgę szkoły, na jej wielkie możliwości wpływu społecznego na wsi.

Czas, żeby nasz nauczyciel przebudził się ze snu Don Kichota, biegnącego po wszystkich drogach w gminie. I żeby wybił z głowy ażalaczem z innych instytucji swą świątę (jakiej zresztą sam nie nauczył). „Don Kichocie, bywaj ano wraz ku pomocy!”

Bo nauczyciel może im oddać pomoc kolosalną przede wszystkim na własnej bazie, którą tworzy najbarożniej naturalne środowisko — chłopów-rodziców.

Przed wojną słabe były tradycje organizowania tego środowiska w komitetach Rodzicielskich. Słabe, bo szkoła powszechna w warunkach nędzy i cołania się chłopstwa do gospodarki samopaźroźniowej, niemal naturalnej, traciła przydatność dla miejscowego życia. Mnożyły się konflikty między rodzicami a szkołą. Dzieci zabierano z braku obuwia, ubrania, książek i z potrzeby wykorzystania ich jako siły zarobkowej. Tak rozmawiała nędza ze szkołą, milion zaś dzieci w okęgach bezskolnych nie cwał rodzicom okazji nawet do takiej rozmowy.

W świat szkoła powszechna również nie prowadziła. Masy chłopstwa pracującego, doświadczający tej prawdy z roku na rok coraz ostrzej. Jeśli szkoła nie wyprowadzała dziecka z nędzy do „pańskiego” życia przez średnie szkoły — upadły zatem wszelkie powody dla interesowania się szkołą.

Taka przeszłość utrwalała tradycję dyslansu między nauczycielem a rodzicami. Ale już pierwsze lata Polski Ludowej zbryzły tę tradycję. Nie tylko nacjonalna Reforma Rolna i osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych pobudziły, chłopstwo do pchania dzieci do szkół.

Pobudziły również wybuchły w atmosferze rewolucji nadzieje i wiara w przyszłość, jakiej wieś dotąd nigdy jeszcze nie zamala.

Pierwsze z kolei lata Planu 6-letniego skonkretyzowały ostatecznie funkcję szkoły podstawowej — prowadzi ona na wielkie budowy poprzez wyższe szkoły i wprost ale również z perspektywą zdobycia wysokich kwalifikacji w samej pracy — prowadzi na wieś, w gromadę, gdzie stanął już na nogi mały i średni rolnik, gdzie walka z wrogiem klasowym toczy się o zbudowanie socjalizmu na wsi. W między czasie chłopstwo zaktywizowało się gospodarczo i politycznie w stopniu, jaki w miejscowym, codziennym życiu różni już je niestychanie od dawniejszej, przedwojennej wiedzy i kultury.

Szkoła zyskała więc także znaczenie ze względu na „domowe” potrzeby. Szkoła pracuje dziś w kraju wolnym od analfabetyzmu. W gromadach, gdzie wyrastają chłopscy działacze społeczni, gospodarcy, polityczni, gdzie gazety czyta każdy chłop, gdzie każdy rok posuwa w technice i umiejętności produkcji, gdzie raz wraz dokonują-

(Dokończenie na str. 7)

PIOTR CHMURA

DWA SPOTKANIA Z GRABOWSKIM

PIERWSZY raz zobaczyłem go pod koniec listopada 1949 r. na wojewódzkiej naradzie w Rzeszowie, zwołanej w sprawie czytelnictwa książek w terenie. Kiedy wszedł na trybunę był już siódmym z kolei, czy dziewiątym mówcą. Ale kiedy przemówił, wszyscy się ożyli.

— „Zaproszony na naradę — zaczął — przesyłam Komitetowi szczegółowy wykaz rozwoju czytelnictwa prasy i książek na mojej gminie Iwierzycy. Spodziewałem się, że podobnie postąpią inni delegaci. Oczekiwałem, że główny referat od tego zacznie i da nam w lizbach przybliżony obraz czytelnictwa wiejskiego w województwie. Jeśli zadanie to byłoby za trudne, jeśli brakłoby dla wielu gmin danych, oczekiwałem referatu, charakterystycznego powiatu poprzez kilka lub choćby jedną gminę.

Bo powinniśmy się podzielić doświadczeniami, jakie na pewno muszą być różne w każdym powiecie, skoro w dwu sąsiednich gminach bywają inne. Przykładem niech będzie — moja gmina. Kto miał zacząć w naszej gminie i od czego rozwój czytelnictwa?

Podzielił się tego zadania my, nauczyciele Ruszycy szkoły, osiem na gminę. To była pierwsza baza. Szkolne biblioteki dla dzieci i młodzieży. Plan był prosty. Od młodzieży szkolnej do starszej, świetlicowej! A przez jedną i drugą w gospodarkę, w domy rodzinne! Nasze księgozbiory, na początku, w najlepszych swych pozycjach mogły dać i dały — jak to pokazała ankietą — „Robinsona Kruzo”, „Chate Wujka Toma”, „Bitwę pod Raszynem”, „Antikę” i „Janka Muzykanta”. Takie młodzież zapamiętała jako pierwsze rzeczy z lat 1945—47. Nie mówię o stronie literackiej. Mówię o stronie wychowawczej, o budowaniu światopoglądu, orientacji w życiu i wiary w nie. To był słaby kapitał i słaby dynamit. Nadrabialiśmy wyjaśnieniami. Udało się je rozszerzyć na świetlice. Baza — powtarzam — było 8 szkół podstawowych i jedno Liceum Rolnicze. W budżetach szkolnych skłapiliśmy na różne rzeczy, aby odczołować na biblioteczki. Porozumiewaliśmy się wzajemnie i uzupełniali księgozbiory różnym asortymentem, prowadząc wymianę między szkolną książką. Szło nam o przy-

spieszenie dojrzałości u młodzieży, o jej szybki i skuteczny udział na froncie walki klasowej na wsi. Czy nam się udało? Osądźcie wy, kole-dzy.

Oto, gdy obecnie biblioteka gminna dysponuje 660 książkami, samo Liceum Rolnicze posiada ich 700. Połowa biblioteki „anowi paroletni dorobek samej młodzieży. Książkę po książce zapracowywano w polu, na wsi, u chłopów. Można by o tych licealistach napisać powieść.

Kiedy wreszcie na Gminną Radę Narodową wniesiono projekt założenia gminnej biblioteki, na

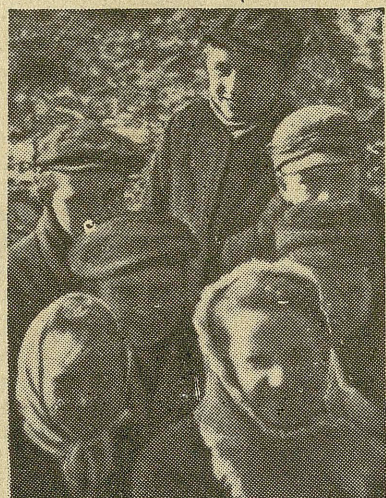


Foto J. K. Maciejewski

pierwszym posiedzeniu projekt upadł. Jeszcze w Radzie siedzieli bogaci chłopcy, jeszcze i tacy, co „głowę i serce noszą w brachu”, a także i ci, co patrzyli „gdzie się z kominą kurzy”. Odrzucenia projektu nie dokonano bezmyślnie. Wróg klasowy, dobrze był zorientowany w naszej akcji szkolnej. Wiedział, co to znaczy uruchomić bibliotekę gminną na przygotowanym gruncie. Co to znaczy wydać bitwę parafialnej biblioteczki dla dorosłych, dotąd bez konkurencji. Argumenty wroga były zamaskowane: biblioteka pociągnie koszt, które gmina będzie płacić. A „po reszcie”, kto chce czytać, niech se książkę kupi. To była cyniczna aluzja do naszych szkół i Liceum Rolniczego.

Następne posiedzenie Rady zostało obłożone przez młodzież ze

wszystkich szkół, z Liceum, z kół ZMP i świetlic. Marszu na gminę przelęgł się kulacy, choć był to tylko marsz dzieci i młodzieży. Ci radni, co patrzyli „gdzie się z kominą kurzy”, w mig chwycili nową wiatr. Radni partyjni przypuścili ostry szturm. Projekt został uchwalony większością głosów. Młodzież rozniosła po domach nazwane oponentów. Powstał tumult po wsiach. Dalszy udział kulaków w Radzie Gminnej mógł być liczony już tylko na dni.

Upłynęło 10 miesięcy. Biblioteka gminna na ośrodek centralny i sześć punktów bibliotecznych po wsiach. Wypożyczeń dokonano za ten okres 4066. Ludności w gminie 8.000, jeśli odliczyć dzieci do lat 8-10 i stare pokolenie i przyjąć na pozostałych sumę 4.000, jeśli z kolei założymy, że przeciętnie każda książkę czytały w domu 3 osoby, wypada w przybliżeniu 3 książki na jedną osobę. To przeciętna statystyka Rzeczywistość wygląda inaczej. Wiele jeszcze nie czyta, ale też wielu czytało dużo.

Co tu jest ważne? Biblioteka parafialna od r. 1947 podniosła księgozbiór i ma prawie równy biblioteczki gminnej (b. par. 602, b. gm. — 661) — ale zapisanych w biblioteczce gminnej jest dwa razy więcej, a wypożyczeń było cztery razy więcej — oto obraz nowego! Już po dziesięciu miesiącach widać olbrzymie przegrupowanie sił na front postępu. Tak stoi sprawa czytelnictwa w naszej gminie. A jak stoi w innych gminach, w innych powiatach? Czego możemy się nauczyć z waszych, koledy, doświadczeń?...

Klaskającego siarczyste sąsiada spytałem, kto zaczął ów mówca?

Wiedział! To nauczyciel z Wiercan, 10 km od Sędziszowa. Syn najmit. Nazywa się Franciszek Grabowski. Matka była najmitką. Młody chłopak — 24 lat. Za czasów okupacji sprzedali go kulacy na roboty do Niemiec. Wrócił w r. 1946 i po sześciogodniowym kursie dla nauczycieli zaczął uczyć. Z awansu społecznego, partyjni. W przyszłym roku sam kończy maturę. O, z głową i zawzięty!

X

Drugą raz zobaczyłem go 1 września 1950 r. Jechałem samochodem przez Rzeszów na Dębicę. Na ry-

ku w Sędziszowie przypomniałem sobie nauczyciela z Wiercan. Ile to stąd? 10 km. Pogoda była piękna, późne popołudnie. Zawadzę, pogadamy. Szofer wrócił z rynku rozpromieniony. Bocznicą, ale 6 km świetnej, nowej szosy. W tym roku ją wybudowali. Kiwał głową z uznaniem. I tutaj nowet robią? Pomyślałem. Nie było mi jednak pisane pogadać z nauczycielem. Trafiałem na drugą w tym dniu uroczystość. Rano — dzieci. Po południu — rodzice. Na ganku szkoły — stół, za stołem, jak mogłem się domyślać — nauczyciele i zarząd Komitetu Rodzicielskiego, przed gankiem rzędy ław, na nich starzy, na murawie z jednej strony dorosła młodzież, z drugiej szkolna. Pewnie będą popisy artystyczne. I były potem. Kiedyś zaś podjechał, akurat przed stołem na ganku wystąpił mój nauczyciel. Ot, masz — znów z referatem. Przypomniałem na ostatniej ławie i słucham.

„Widzicie, jak obok nas, w gromadzie Będzin postawiono piękną szkołę jak z drugiej strony w Iwierzycach, w dawnym pałacu, pracuje z nami Liceum Rolnicze, sławne na okolicę. Wiedzę, że w projekcie jest wybudowanie 1 w naszej wsi nowego, wielkiego gmachu pod szkołę. A to wam jeszcze powiem z radością, że na budżet naszej szkoły, na rok 1950 — 51, przeznaczono 900 tys. zł., kiedy jeszcze w ubiegłym roku tyle samo było na wszystkie szkoły w gminie, a w tym roku 5 milionów! Oto macie pierwszy rok Planu 6-letniego, (Oklaski).

A tyle będziemy mieć z naszych Wiercan za parę lat uczonych głów, ile ich nie zliczylibyście razem od czasów ks. Stojalskiego i bardzo uczono pana Wysłoucha, którzy nas tu przed pół wiekiem odwiedzali.

Ale czy sądzicie, że tylko wasze dzieci uczą się i mądreją? I wy uczycie się z tej samej wielkiej księgi postępu, którą otwiera w nowej Polsce ludowa władza, a jak to mówią nasi „wszystko widzący” kulacy — „dyktatura proletariatu”. Po raz pierwszy w historii naszej wsi użyliśmy w tym roku podczas żniw maszyn rolniczych. I spodobało nam się — pięćdziesięciu najbardziej potrzebnych rodzin nikt nie zapłacił.

W tym czasie kolega Stanisław Grabowski przeniósł się do pracy w innej szkole, zostawił więc sam. Zrobiłem niejako swój społeczny rachunek sumienia i postanowiłem jeszcze wyraźniej określić moją pozycję polityczną, wstępując do Polskiej Partii Robotniczej. Był to początek 1948 roku, kiedy na naszym terenie reakcja zajmowała jeszcze silne pozycje i bandy często łapadają na działaczy partyjnych, mordując ich. Wszedłem niebawem w skład KG jako drugi sekretarz i rozpocząłem pracę na oddziale partyjnym. Równocześnie nie zaniedbywałem pracy w szkole, starając się osiągnąć jak najlepsze wyniki. Swoje braki dydaktyczne starałem się uzupełnić przez intensywne samokształcenie.

Z chwilą, kiedy wyszło zarządzenie Ministerstwa Oświaty o organizacji bibliotek gminnych postanowiłem że taka biblioteka powstanie na terenie naszej gminy gdzie dotąd jedyną biblioteką była biblioteka parafialna. Nie było to jednak łatwe jakby się na początku mogło wydawać. Ministerstwo dało 500 książek ale na otwarcie biblioteki potrzebne było zgody i uchwały Gminnej Rady. Zasiadało tam wielu chłopów, którym zasadniczo nie zależało na rozwoju czytelnictwa, a poza tym większość członków uważała że utworzenie biblioteki to nowe wydatki, obciążające budżet gminy. Liczono się



Foto — CAM

ciągnął dług u kulaków, nikt nie zapisał się w odołek.

Wście uchwaliłi założyć filię spółdzielni w naszej wsi. To znaczy, żeście poparli spółdzielnię, że ją uznajecie za swoją i że jej będziecie bronić. Nie będą kulacy smażać naraz dwu pieczeni: okradać spółdzielnię po cichu, a głośno jej kompromitować. A pamiętacie, jak to było z elektryfikacją? Jaka to kulaków wściekłość ogarnęła, kiedy od Sędziszowa w naszą stronę wybudowano w tym roku 6 km szosy i jaka radość, że jeszcze brakuje 4 km. Bo oni swoje panowanie i wyzysk budowali na naszym bezdrożu. Drogi, właśnie drogi boją się jak diabeł święconej wody. Bo droga — to znaczy, że partia będzie tu częściej. A oni wiedzą, że wynik może być jeden: od skarg i zażaleń pójdziesz pod przewodem partii do walki na miejscu, aż się będzie kurzyło, pójdziesz do budowania Planu 6-letniego w naszej wsi. A jest przecież co rozbudować. Mamy przecież w Wiercanach obfitość siarczyste o wysokiej wartości. Może powstać nowe uzdrowisko. Mamy kamień wapienny. Robiliśmy próby wypalania w tym roku, duże i wysokogatunkowe pokłady. Ech, jak to puścić w ruch, jak uruchomić, to nie tylko dla nas starczyłoby pracy, ale i dla okolicy. Tego, się boją kulacy. Zdusiłi elektryfikację, bo od żarówek w domach mogłoby dojść do załączenia elektryczności z przewodu wysokiego napięcia do wiertarek siarłki i wapienia. Cóżby się stało wówczas z biedotą, z parobkami, z

komornikami? Cóż by się stało ze wsią? Osada przemysłowa? Robotnicy? Spółdzielnia produkcyjna? Wście widzieli przed wojną pysk hr. Potockiego z Łanęcuta, wielkiego burżuaja, wielkiego krwiopiccy, ale sami dziś widzą, że małe pieski tak samo gryzą i szcękają, jak wielkie brytany kapitału. Zdemonstrowaliśmy naszego młynarza. Siedzi w kryminalu. Poszli do niego z naszej Gminnej Rady, aby podpisał papier na dzierżawę dla Samopomocy czy prywatną, byle młyn szedł i nas obsługiwał, a ten w więzieniu siedzi i co odpowiada — nie! Komu on tak mówi? Nami! Czy krew was nie zalewa? To tak z narodem postępować? Ale czego innego po nich się nie spodziewacie! Na siarke oni porwać się nie mogli, za gruba rzecz, na wapno — rabunkową metodą — mogli, ale szosy im brakowało, a w Polsce Ludowej bali się, że wy byście im powiedzieli krótko: prywatnie! Nie pozwolimy! Dlatego wola bezdroża, a za tym bezdrożem głupi naród, co w siebie nie wierzy, dlatego i w swoją prostą, robotniczą i chłopacką władzę też nie wierzy i tylko labiedzi na zagonie życie upycha i kulakom służy i karku im nadstawia.

Zorganizujcie po wsiach zebrań, wyłóńcie komitet i dobudujcie te 4 km, ruszcie elektryfikację, a już was Plan znajdzie z naszą siarłką i wapnem. A wtedy... wahać się nie będziecie!”

Piotr Chmura

FRANCISZEK GRABOWSKI

B A B K A I W N U K

URODZIŁEM się w Nockowej, leżącej w głębokim powiecie, w roku 1928. Rodziców pamiętam słabo, gdyż oboje jako wyrobnicy rolni, jeździli w rozmaite strony szukać pracy. A ja zostawałem przy babce.

Przypominam sobie, że już od najmłodszych lat rwałem się do czytania książek. Wypożyczałem je, gdzie się dało. Babka mówiła zawsze tak: „czytasz te książki, ale chleba z nich jadać nie będziecie, nie myśl, że będziesz nauczycielem, Bogu dziękuj, jeżeli cię ktoś na służbę weźmie...”

Stare to dzieje, kiedy wcześniej gaszono małą lampką naftową



Foto J. K. Maciejewski

w naszej chacie, żeby mniej kosztowało.

Dzisiaj jestem nauczycielem i bibliotekarzem, pracuję w świetlicy. Zaczynałem wprawdzie jako inkasent podatkowy w Zarządzie Gminy Iwierzycy, ale zacząłem myśleć już wtedy o tym, jakby znaleźć możliwość dalszego uczenia się. Warunki takie znalazły się, gdy ogłoszono, że będą odbywać się 6-cio miesięczne kursy, przygotowujące nauczycieli bez cenzusu gimnazjalnego. Natychmiast zgłosiłem się na kurs i po egzaminie wstępnym zostałem przyjęty. Był to grudzień 1946 roku. Na kursie tym, odbywającym się w Łanęcutu, miałem trudności, bo brakowało mi środków na utrzymanie się i opłacenie stancji. Początkowo jadło się jałową grochówkę, którą wespół z kolegami gotowałem, otrzymaliśmy jednak później zapomogę, co mi umożliwiło ukończenie kursu. Zdałem egzamin z wynikiem bardzo dobrym, traktując go jako wielki sukces życiowy.

1 września 1947 r. stanąłem do pracy jako niewykwalifikowany nauczyciel w szkole podstawowej w Wiercanach, pow. Dębica. Była

to sąsiadująca z moją rodzinną wioską, w tej szkole pracował również mój kolega i imiennik, Stanisław Grabowski, który razem ze mną wziął się do pracy społecznej na terenie wsi. Rozpoczynając pracę nauczycielską miałem bardzo małe przygotowanie rzeczowe i metodyczne, bo nie można było zbyt wiele nauczyć się na 6-miesięcznym kursie. Równocześnie pod względem materialnym byłem chyba najbardziej potrzebującym człowiekiem na wsi, w której uczyłem. Wystarczyło tylko powiedzieć, że chodziłem w butach związanych sznurkiem i w spodniach, które sam ręcznie sobie uszyłem z koca. Jednym słowem byłem podobny do nauczyciela z „Antyki” Prusa, tyle że kożucha nie miałem. Te warunki materialne jak i małe przygotowanie zawodowe spowodowały chyba, że do mnie jak i do kolegi mojego pewna część nauczycielskiego z terenu gminy ustosunkowała się nieprzychylnie. Ciężka była wtedy „hańba” niewykwalifikowanego nauczyciela, dlatego też miałem początkowo ogromne trudności w pracy. Zrozumiałem z kolegą Grabowskim, że drogą do uzyskania autorytetu może być tylko praca — uczciwa, rzetelna codzienna praca w szkole i w terenie. Być może, że siła i zachęty dodawała nam świadomość, że jesteśmy przydatni społeczeństwu. I tak zaczęliśmy się doszkalać przy pomocy Komisji Rejonowej w Przemyślu, a jednocześnie postanowiliśmy założyć świetlicę, gdyż większość młodzieży po skończeniu swych zajęć wędrowała się po wsi bez celu. Początkowo do tej świetlicy nikt nie chciał przyjść, trzeba było znaleźć właściwą drogę do młodzieży. Wtedy ogłosiliśmy, że na zajęciach świetlicowych będziemy uczyli modnych tańców i piosenek, zgłoszono się po takim oświadczeniu około 10 osób. Tego pierwszego wieczoru świetlicowego wprawdzie nie tańczono, ale pokazaliśmy niemniej interesujące rzeczy — gry towarzyskie, czytaliśmy ciekawe wyjątki z książek, były także „rzeczy ciekawe” (a więc wiadomości z różnych dziedzin wiedzy podane w sposób lekki). Na koniec wspólnie śpiewaliśmy różne piosenki. Od tej chwili siła i letnica nasza zdobyła pewną popularność, przychodzili i starsi. Nasze zajęcia świetlicowe stały się systematyczne. Kosztowały one nas wiele dodatkowej pracy, gdyż musieliśmy dokształcać się w tym zakresie, nie rezygnowaliśmy jednak ze wszystkiego, co by mogło zbliżyć wieś do nas. Organizowaliśmy przedstawienia teatralne, koło do brego czytania i koło planowego czytania. Były to pierwsze próby w naszym województwie, tak że świe-

tlica nasza zajęła drugie miejsce w powiecie.

Coraz bardziej nasze zajęcia świetlicowe przejmaliśmy treścią polityczną. Po pewnym czasie urządziliśmy wieczorek literacki na temat: „Chłopi polscy w literaturze”, na który zaprosiliśmy chłopów z całej wsi i okolicy. Wieczorek ten stał się naszym wielkim sukcesem. Mogliśmy oddać nie tylko wychowywać młodzież, ale i wpływać na starszych. Te nasze osiągnięcia nie wszystkim się jednak podobały. Proboszcz i dewotki robiły wszystko, by naszą pracę zohydzić. Często pod oknami świetlicy czaili się skulone postaci starej babek, podслушujące co mówimy i donoszące natychmiast księdzu. Zarzut główny polegał na tym, że wychwalamy rząd i Związek Radziecki i że chcemy młodzież urobić na komunistów. Często rodziców zabrano i kategorycznie swym dzieciom przychodziliśmy do świetlicy. Na skutek tych trudności, jak i tego, że weszliśmy głębiej w pracę partyjną oraz na skutek braku pomocy ze strony władz szkolnych, przerwaliśmy zajęcia w świetlicy, ograniczając się do pracy dorywczej na tym polu. Ale wysiłek nasz nie poszedł na marne. Część młodzieży została przez nas należąca urobiona. Zrozumielśmy poza tym, że walka o kulturę w naszych warunkach jest zarazem ostrą walką klasową.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Z Cyklu: SONYTY O ŁODZI

Wyciągi rowerowe w dniu dziecka

Jest dzień, kiedy w Alejach Kościuszki tramwaje

Suną wolno, ostrożnie, jakby szły na palcach.

Motorniczy z postronem w pogwarce się wdaje,

Wbrew przepisom, i wodzi oczyma po malcach,

Co na jezdni pod wujów-fachowców opieką

Na ścieżkach od wichrów ziemi hulajnogach

Z groźnym marsem na czole śmiało biją „rekord”,

Uczą się sztuki zwycięstw na późniejszych drogach.

Jest dzień, co do porównań mimowolnych zmusza

Między prostym dzieciństwem tych smyków i naszym

I malców z Cannes, co żebrają pod palmą ratusza

I wyrostków z Phenianu, których zabił faszyzm —

Jest dzień, co dłoń twą wzywa, by rozładowała

Ku główkom dzieci naszych skierowane działa.

nien wyglądać pociągająco i przyjemnie, 2) czytelnik pierwszy raz wypożyczający książkę — powinien dostać taką, którąby go nie znudziła, lecz przeciwnie — wzbudziła w nim zainteresowanie i zapoiła do czytelnictwa. Wynikało z te-



Foto J. K. Maciejewski

go jednak, że należało dobrze poznać stopień odczytania i zainteresowań czytelników, by pozyskać jak największą ich liczbę, co mi się po pewnym czasie udało.

1 sierpnia 1950 r. zostałem przeniesiony na stanowisko kierownika szkoły w Brzeźnicy, gdzie jest spółdzielnia produkcyjna, ale niedługo tam zabawiłem, gdyż zostałem powołany do pracy w Wojewódzkim Ośrodku Szkolenia Partyjnego w Rzeszowie jako kierownik biblioteki. Dnia 30 stycznia 1951 r. przed Komisją Rejonową w Przemyślu złożyłem egzamin dojrzałości, nie poprzestałem jednak na tym. Zgłosiłem chęć dalszego kształcenia się i zostałem przyjęty po egzaminie selekcyjnym na 5-miesięczny kurs przysposobienia zawodowego nauczycieli szkół średnich w Warszawie. Po powrocie z kursu zacząłem pracować w Liceum Pedagogicznym w Rzeszowie, a następnie przeszedłem na stanowisko instruktora pedagogicznego w Ośrodku Szkoleniowym Prezydium WRN w Rzeszowie. Jestem ponadto zocznym słuchaczem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Warszawie i w ciągu dwóch lat będę mógł uzyskać kwalifikacje do nauczania w szkołach średnich.

Często przypominam mi się moja babka — jakżeby nie chciał jej dziś powitać, że szczęśliwy jestem kiedyś sam czytałem książki i zdobywałem nowych czytelników.

Franciszek Grabowski

IRENA KOZŁOWSKA

Nowa Inteligencja

DYREKTOR NIE CZYTA

O TO mój bohater — Stefan Dżerski — dyrektor zakładów graficznych w Łodzi, 50-letni, średniego wzrostu mężczyzna, utykający lekko na nogę. Jest właśnie wieczór, umilkły maszyny, a i ludzie już dawno porzucili się do domów. Jeszcze tylko składają sprawozdanie, opowiadają szeroko o stanie maszyn. Sprawa dla Dżerskiego ważna, gdyż opracowuje wynalazek, który ma podnieść produkcję książek, zmniejszyć zużycie smarów, przy równocześnie intensywniejszej pracy maszyn drukarskich. Jego konkurencja ZMP-owcy. Szczepan Gabrys i Andrzej Bartosik, pracują obaj na podobnym usprawnieniu. To współzawodnictwo odmalował Dżerski. Nie wychodzi przez cały dzień z zakładów, rzadko kiedy przesiaduje w domu, nie pamięta kiedy ostatni raz miał w ręce książkę, trudno mu też opowiedzieć ostatni film, jaki oglądał, nie mówiąc już o teatrze.

A przecie kilkadziesiąt twardech lat, które na już za sobą upłynęły, nie jako z książką w ręku. Czytał w najtrudniejszych chwilach swego życia. Rwał się do wiedzy w nadziei na poprawę losu, a teraz — gdy został dyrektorem zakładów produkujących książki — zna je o najwyżej z okładek. I oto cały problem Dżerski nazywa go niemożliwą do rozwiązania sprzecznością pomiędzy obowiązkami dyrektora i działacza o potrzebie szerszego, pełnego kulturalnego życia. Czyżby tak było?

*

Niewiele pozostało mu wspomnień po ojcu — łódzkiemu robotnikowi. Musiał to jednak być człowiek wspaniały, skoro macocha, żarta dewotka, którą nawet ksiądz z parafialnego kościoła na Chojnach wyganiał, mawiała póki jej życia: „dobrze mu tak, bo w Boga nie wierzył, ludzi do buntu podjudzał, jadusz jeden, przeciw władzy i kościółowi”. Była to aluzja do wypadków z roku 1905 w cz. de których ojciec Dżerskiego stracił, walcząc na ulicach Łodzi, rękę i nogę. Po dwu latach umarł, pozostawiając jakiegokolwiek pomocy.

Stefan do 20-go roku życia był analfabeta. Paradoxa sytuacja. Oto ciężka osoba, na którą zapadła stworzyła okoliczności przeżywania ciemności. Był rok 1922, kiedy złożony chorobą leżał samotny w komórze, gdzie kiedyś w lepszych latach chowała nieżyjąca już matka — kozy. Nie widział początkowo czyje troskliwe ręce obmywały mu pokrytą strupami twarz. „Lekarzem” okazał się przyjaciel ojca — Szczepan Duda, były SDKPiL-owiec, robotnik od Gayera.

Wieczorami po pracy przychodził Szczepan na Chojny i czytywał rekonescentowi książki. Ale Stefan niewiele rozumiał. Wyobraźcie sobie pokrytą pozostałościami po ospie, zastraszoną i zrezygnowaną twarz, wyobraźcie sobie chłopca 17-letniego, pośmiewisko zdrowych wyrostków przedmiotu. Gdy miał 13 lat spadł nieszczęśliwie z wozu kolejowego, kradł węgiel, no i został „kulasem”. Wyobraźcie sobie chłopaka, lekceważonego, nie przyjmowanego do pracy z powodu choroby, no i, któremu tylko latem udało się złapać sezonową pracę w cegielni, czasem u łowickiego bogacza. Wyszodyny przez rodzinę, pomiatany przez macochę za to, że podobny był do ojca, tym więcej lgnął do Szczepana. Czym dla niego w tych warunkach była książka? Czy uczył się z niej wiary w przyszły ustrój sprawiedliwości społecznej, czy zbliżała go do realnego życia? Działło się wprost przeciwnie. Stefan odwrócił się od życia, żył tylko z literackimi bohaterami. I tego stanu nie mógł przezwyciężyć Duda w czasie ich krótkiej znajomości.

Gdzieś po pół roku wspólnych wieczorów na Chojnach Dżerski zapadł na jaglicę. Duda odwoził go do szpitala. Odtąd nie widzieli się już nigdy. Stefan leżał długo, nauczył się pisać, grzyzmolił na szpitalnym łóżku listy do swego opiekuna. Któregoś dnia przyszli robotnicy od Gayera, zawiadomili o rwałowym smutkiem, że Duda nie żyje i pozostawił mu po nim skrzynkę z książkami.

*

Na dawnym placu Leonarda (dziś placu Niepodległości) wystawał przez wieki lat każdego dnia stary Żyd. Kupował stare książki, sprzedawał młodzieży podręczniki, wypożyczał powieści za opłatą 30 groszy na tydzień od cięszej książki, za grubszą płacono się, bez względu na treść, 40 groszy.

W latach 1823—28 miał on stałego klienta — Stefana Dżerskiego. Słrytego, małego kolegi u nikła rodzina i współtowarzysze. A książka to odwrócenie od życia. Jeszcze tylko pogłębiała. Czytał wszystko, co podsuwał mu „księgarz”, z jednym zastrzeżeniem — nie przyjmował sensacyjnej szmygi i romansów. Pragnął dostać w swe ręce książkę, o której niejednokrotnie wspominał mu zmarły opiekun. Ale Żyd rozkładał beznadziejne ręce — nie gdzie nie mógł znaleźć Czernyszewskiego „Co robić”.

„Przedwiośnie” — to była pierwsza książka, która wyrwała na Dżerskim piorunujące wrażenie. Posiwiasty dyrektor wspomina dziś,

że czytał ją jednym tchem, przysiadł na krawężnikach, ulic, zapomniał o konieczności wypoczynku po pracy. Podobnie było z „Faraonem”. Najważniejsze jest jednak to, że poczuł się członkiem wyzyskiwanej klasy.

Żyd z placu Leonarda polubił z czasem uporczywego czytelnika — nie tylko wynalazł mu Czernyszewskiego, ale — podarował podręcznik historii Polski Zakrzewskiego.

W życiu było gorzej. Życie nie darowało niczego, nawet nędzy. Nie było chyba takiego zajęcia, któregoby nie próbował Stefan na przestrzeni ciężkich lat 1930—36. Był tragarzem na dworcu Kaliskim, malował wapnem domki na Chojnach, tukał kamienie na szosach, brał się po wsiach za murarkę. Były to zajęcia dorywcze, trwały zazwyczaj tylko przez letnie miesiące, a potem zaczynała się znowu głódówka.

W tym właśnie czasie poznał historię narodu polskiego, przeczytał Gogola — „Martwe dusze”, „Wojnę i Pokój” Tołstoja, wreszcie — „Matkę” Gorkiego. Czasu miał dość — uczył się rosyjskiego.

*

W roku 1936 otworzył drżącymi rękoma „skarby”, skrzynię z książkami pozostawionymi mu przez Dudę. Tak poznaje Marksa i Lenina w wydaniu rosyjskim.

Dżerski twierdzi, że dopiero wtedy wrócił do życia. W jego wyglądzie zewnętrzny zaszły poważne zmiany. Wzrost stał się ostry, poważny, wyprostował swą nieco przgarbioną postać i trza było dobrać mu się przyrzec, by zauważyć, że lekko utyka na nogę. Robotników z Chojen najbardziej zdumiewał sposób wypowiadania

się Stefana. Mówił jasno i zwięźle. Ludzie poczęli mu się pierwsi kłaniać, coraz częściej przychodzili po rozmaite rady.

Szwagier, kwalifikowany robotnik — związkowiec od Gayera wyrobił mu miejsce w fabryce Stolarowa. Stefan pracował w warsztacie mechanicznym, ale nie zagrażał długo miejsca Strajkowiowi, właścicielowi tramwajarzy. Stefan przyłączył się do nich, pociągając za sobą kilku kolegów. Pracy nie przerywali, by-



Foto — CAF

wali jedynie wieczorami na wieczorach w remizie na Chojnach, lub przy ulicy Tramwajowej. Ponieważ strajk był kierowany przez KPP, Stefana usunęli — jako podejrzanego.

Ale ludzie z Chojen nie dali mu już stoczyć się na dno nędzy i gło-

du. Policzyli go na zawsze między swoich. Nieznany mu bliżej robotnik od „starych Frunków” zawiadomił go o wolnym miejscu. I oto widzimy Stefana jako „furgonia”, rozwożącego wózek przed siebie po salach fabrycznych. U Frunka poznał Klarę Wojtasik — „flajerkę”, przygotowującą materiał na przedzę, swoją późniejszą żonę.

W tym czasie opuścił raz na zawsze nędzną komórkę na Choj-

nach. Jego nowe mieszkanie zamieniło się w klub dyskusyjny. Tu odbywały się długie rozmowy nad wojną w Hiszpanii, tu protestowano gorąco przeciwko faszystowskiej korupcji uchwalonej przez sanacyjną sejm. Duszą i organizatorem dyskusji byli oboje Dżerscy.

W roku 1944. Do PPR wstępuje w roku 1944. Od chwili wyzwolenia pracował jako robotnik w dziale mechanicznym zakładów graficznych. Nie chciał być — jak powiada — daleko od książek. Okres poprzedzający jego awans na kierownika produkcji i dyrektora był niesłychanie twórczy.

„Zobawiony rzetelnego przygotowania naukowego-technicznego, próbuje jako jeden z pierwszych w kraju pomyśleć o racjonalizatorskich, nie bacząc na to, że wedruga one zawsze do szuflady referenta, a następnie do kosza.”

Rzeczywiście, z powodzeniem walczył o kulturalne życie swoich zakładów pracy. Powstaje z jego inicjatywy koło samokształceniowe, liczące 60 osób, w wieku 25—60 lat. Wykładają, profesorowie Uniwersytetu Łódzkiego. Kurs obejmował nauki przyrodnicze, filozofię, matematykę, literaturę polską i obcą. Po dwóch latach — 16-tu słuchaczy poszło do szkół dla dorosłych, 10-ciu na kurs przygotowawczy do wyższej uczelni.

Stefan pomógł także wżywieniu świetlicy zakładowej. Reżyserował sztuki w zespole dramatycznym, interesował się nawet

Nagły smutek zamroził myśli — chmura przesłoniła mejne zawieszcie niebo i świat jeszcze bardziej spochmurniał; serce poruszyło się w pierś, zabolowało, jak wiezień, który w ciasnej celi stuknąwszy o mur, poczuje raptownie ciężar niewoli.

Wuj Gordiasz długą chwilę przyglądał się Henkowi.

„A młodzi u nas coraz weselej organizują życie. Złożyli koło sportowe; po pracy grają w piłkę, boisko wyszykowali pokazowe; w niedzielę całe miasteczko ciągnie na mecz Gola! Gola! Krzyk... A chłopaki dalej go śmieją to, zwinne... Takie! jak ty też się wyprowadza na prostą drogę.”

Coś drgnęło w pierś Henka...! A gdyby tak... — niedopowiedziana myśl wysunęła się ręką i skorupy na chwilę cofnął ją, groźnie marszcząc brwi.

„A co jak ucieknę?... Rozjaśniło się wszystko od tej olśniewającej możliwości. Cała przyszłość leżała przed oczami chłopca jak zielona ogromna równina, po której tylko gnaj, harcuje Wolność!”

Wuj Gordiasz patrzył uważnie na siostrzeńca i w jego wypukłych oczach zamiast wesołych iskier, krzepła twarda decyzja.

W tym czasie księżę wnyki były już zastawione na Henka. Chociaż chłopiec wciąż strzegł się, żeby nie uronić słowa zgody na wyjazd do seminarium, tym razem zdawało się, że spółka matki i proboszcza dopiła swego. Zalatwione zostało pomyślnie przyjęcie ucznia do Instytutu Bożego Ciała w Łowiczu.

„Tutaj mi się po świecie tuli... — Kiwał głową wuj Gordiasz. „A teraz... — patrzył zognionym wzrokiem — fabrykę mamy. Trzeba pokazać przed narodem...”

Heniek słuchał, cicho pospując z przyjęcia. Za oknem zwiast nie-ruchomo biało-szare, jakby zanurzony w rozwodnionej serwatce, marmory dzień. Od czasu do czasu ostry deszcz — zimny podmuch przeszywał powietrze; z wiśniowych różg wiatr uderzał przezroczyste krople, olśniewała woda kulaż marseczyła się w drobne fałdy, nagłe smoliste gązdzę przydrożnych topoli szumiały jękiwie; kawałek naderwanej blachy, zgrzytając huśtała się, pod okapem. Jak gdyby pierwszy raz zobaczył Heniek drogę przez rodzinną wioskę. Pusto było w jednej i w drugiej stronie, tylko stado gęsi biegało na błotnistej rozcioczce. W głębokich koleinach wezbrała żółta piana. Spłachcie brudnego, pokrytego szarym nalotem śniegu, liniały na dnie głębokich dołów.

„A gory... — ciągnął wuj Gordiasz — „gory u nas pod obłoki wyrastają. Pół dnia na taką wdrapujesz się i szczytu dostać nie możesz... A wejdiesz, spojrzysz doł — w głowie wiatrak, sady, pola wszystko zalane słońcem; słonco u nas świeci nie tak, jak tutaj...”

A skąły jakie ogromne Lite; taka góra — jedna olbrzymia skala...”

Na drodze, zza zakrętu wynurzył się wóz, leniwie mijający kołami oślisze bloko Mysia kobyłka Warpasów po peciny grzęzła w rozkiepskiej bry, sennie chwiała opuszczonym brem, a poryw wiatru rozwiewał na bok grzywe i wyliniały ogon. Stary Warpas, nakryty workiem drzemną, utknuwszy długim nosem w czarnych kudłach koczucha.

WITOLD ZALEWSKI

P O W O Ł A N I E

(Fragment opowiadania)

MATKA uparcie ciągnęła chłopca do plebanii. Zimą i latem chodziła w czarnej mantyle; z szarych, przypończonych siwizna włosów unosił się

zapach kadzidła, w oczach spłukałych łzami po śmierci czworga zamorzonych dzieci iskry nieubłaganej wiary często topiły błękit zreni odbijających pustkę nieba. Ojciec z roku na rok coraz głębiej zginał plecy nad kopytem. Siedząc na sołeczku pod oknem, od rana do nocy klepał młotkiem rozdeptane poduszki Narzędzia i fach przejął Wojciechowski od swego ojca. Pragnął je z kolei przekazać Henkowi. Ale musiał milczeć wobec nieugiętej woli żony, która jedynę odchowane dziecko ślubowała poświęcić służbie bożej. Przytem Heniek nie czuł do dratwy żadnego pocigu. Po ojcu odziedziczył baniastą głowę, w wlotkiej szyi, kurzą klatkę piersiową i słabo umięśnione ramiona oraz nogi z rozepchniętymi kolanami. Miał więc typowe ciało szewca, zniekształcone — istnieniami przodków latami strawnymi przy niezdrowej pracy. Taki organizm szybko mógł się stać bezbronny wobec ataków gruźlicy, gościa, wrzodów żołądka — chorób cyhających w warsztatach ubogich rzemieślników. W ostatnim roku wojny kiedy Heniek miał już piętnaście lat, ojciec zaczął gwałtownie żółknąć; na łśnianym wilgocią czole, jak żywcia na obdartym pniu, występowały pełne kropie potu; co parę minut ojciec — przerywał robotę i stękając boleśnie kładł się na łóżku z dionimi przyściśniętymi do brzucha. Miesiąc później przykrytego kraciastą pierzyną w upalny, czerwcowy dzień powieźli sąsiedzi do szpitala. Heniek szedł obok wozu i oganiał brzoową gałęzią granatowe muchy, siadające na zapadniętych woskowych policzkach.

Matce śmierć ojca nie wycisnęła łez z oczu; tylko twarz jej jeszcze bardziej stęzła i pod świeżą warstwą smutku ploszyła ludzkie uśmiechy. Odtąd na przekór zamiarom, związanym z Henkiem nie stało nic, oprócz wyraźnej niechęci samego chłopaka do życia w sutannie, ale proboszcz, który był też sprawą gorącym oredunkiem i zlatwiał przyjęcie kandydata do seminarium na specjalnych warunkach — Heniek skończył przedko sześć oddziałów — pocieszał matkę.

„Powołanie, droga pani Wojciechowska, przychodzi z czasem; cóż pani chce, nie każdy ksiądz rodzi się apostołem z gotową tonsurą na cieniu; kościół nasz katolicki stanowi świętą armię zbawienia i tak jak każda armia potrzebuje kadr kierowników... Gdybyśmy się oglądali tylko na tych, co od młodzieńczości idą za objawionym głosem... A zresztą, w dzisiejszych czasach lepiej spełnia swe obowiązki ten kapłan, który nie odwraca się plecami do życia; nie jest łatwo przekonać zawiłe skłania politycznej strategii... Duszpasterstwo więcej niż o zbawieniu istoty, musi myśleć o kierowaniu rzeczą, o prowadzeniu jej trudną drogą jedynie prawdziwej wiary katolickiej...”

Działo się to w pierwszym roku pokoju, obwieszczonego w Podłokowej strzałem, od którego padł,

czepiając się szkolnej ściany, nowoprzybyły nauczyciel, bezbożnik i komunist... zachwalający nową władzę przed miejscowymi szewcami. Szesnastoletni Heniek nie przejmował się zbytnio ogłoszonymi walki, wzbudzającymi życie osady. Wychował się teraz na innym polu. Banda jego rówieśników dręczyła gospodarzy małymi figlami. Wkrótce Heniek dał się poznać gromadzie kolegów jako najzwinniejszy i najzłożniejszy wykonawca przemysłowych znet. Dzięki drobnej postaci potrafił prześlizgiwać się tak wąskimi szczelinami, że zdawało się, że nawet szczerzył się nie przenikniętym. Pierwszy wdrapując się na strzechy stodół, żeby umieszczać tam kwaczącą kaczkę lub ogupiającą kożę zamazywaną smołą drzwi i okna mieszkań, a raz w marcu, kiedy pęsały lody na rzecze, po pękających krach przedostawał się na drugi brzeg i na wysokim kopcu postawił zdjętą z kapliczki we wsi figurę świętego Antoniego. Dzięki lekkim nogom nigdy nie dał się złapać na gorący uczynek. Większość jego sprawek szła na rachunek bardziej wpadających w oczy łobuzów. Heniek zadawał się z uznaniem w kole ówiesników. Wszysko to robił po to, po to nieustannie ćwiczył od wag, żeby choć częściowo zrównać się z silniejszymi kolegami.

Życie w Podłokowej, wzburzone zakończeniem wojny, szybko cofnęło się do swojego łozyska i popłynęło leniwą strugą. Heniek chwiliwie chłonił teraz przenikające do osady wiadomości o bogatym, ciekawym życiu w innych stronach, w miastach, pełnych skarbów pośród ruin, w odbudowywanych, kipiących wartką pracą fabrykach.

Wiosną czterdziestego szóstego roku odwiedził Wojciechowską jej brat — Antoni Gordiasz, wielki o biezysław i niespokojny duch, często wspomniany w rodzinie. Przed wojną uciekłszy z domu, przeżył parę lat w różnych fabrycznych miastach, potem przyśnięty biedą wyjechał do Francji, tam szybko zadławił się emigrancim, ościstym chlebem; wojna zaskoczyła go na robocie w Holandii; wlezionej do obozu w Niemczech, uciekł z transportu i przeszedłszy Alpy, znalazł się we Włoszech, skąd po paru miesiącach, ukryty na statku, przybył do Algieru. Tu w szeregu francuskiej legii cudzoziemskiej walczył z Niemcami i Włochami przez cały czas kampanii afrykańskiej. Do kraju wrócił jednym z pierwszych transportów i osiedlił się w małym miasteczku dolnośląskim na samej granicy czeskosłowackiej.

Heniek nieraz myślał o wuju Gordiaszu; wyobrażał go sobie jako

ogromnego chłopca, przynajmniej dorównującego Klimkowi, jako groźnego, wznęcającego lek, siłacza. Tymczasem Antoni Gordiasz, nie będąc ulotkiem, nie wiele wyróżniał ponad przeciętny wzrost i dlatego w pierwszej chwili rozczarował siostrzeńca. W ogóle nie budził żadnych obaw, przeciwnie, jego wywulke oczy, w których bez przerwy niemal świeciły iskielki wesołości, zjednywały mu szybko ufną sympatię. Po jednym dniu Heniek przyglądał do wuja całym

Stefan nie wstał do PSS, mimo natarczywych propozycji. Z tego też powodu stracił pracę na rok przed wybuchem wojny. Po prostu prawnicowi związkowcy donieśli, że w jego mieszkaniu przebywali komuniści, którzy wyprawiali się do dalekiej Hiszpanii, by walczyć z frankistowcami. I to wystarczyło.

Okres okupacji, charakteryzuje Dżerski bardzo krótko. Czytał, nieustannie czytał książki z zakresu nauk ekonomicznych i politycznych.

*

Do PPR wstępuje w roku 1944. Od chwili wyzwolenia pracował jako robotnik w dziale mechanicznym zakładów graficznych. Nie chciał być — jak powiada — daleko od książek. Okres poprzedzający jego awans na kierownika produkcji i dyrektora był niesłychanie twórczy.

„Zobawiony rzetelnego przygotowania naukowego-technicznego, próbuje jako jeden z pierwszych w kraju pomyśleć o racjonalizatorskich, nie bacząc na to, że wedruga one zawsze do szuflady referenta, a następnie do kosza.”

Rzeczywiście, z powodzeniem walczył o kulturalne życie swoich zakładów pracy. Powstaje z jego inicjatywy koło samokształceniowe, liczące 60 osób, w wieku 25—60 lat. Wykładają, profesorowie Uniwersytetu Łódzkiego. Kurs obejmował nauki przyrodnicze, filozofię, matematykę, literaturę polską i obcą. Po dwóch latach — 16-tu słuchaczy poszło do szkół dla dorosłych, 10-ciu na kurs przygotowawczy do wyższej uczelni.

Stefan pomógł także wżywieniu świetlicy zakładowej. Reżyserował sztuki w zespole dramatycznym, interesował się nawet

Nagły smutek zamroził myśli — chmura przesłoniła mejne zawieszcie niebo i świat jeszcze bardziej spochmurniał; serce poruszyło się w pierś, zabolowało, jak wiezień, który w ciasnej celi stuknąwszy o mur, poczuje raptownie ciężar niewoli.

Wuj Gordiasz długą chwilę przyglądał się Henkowi.

„A młodzi u nas coraz weselej organizują życie. Złożyli koło sportowe; po pracy grają w piłkę, boisko wyszykowali pokazowe; w niedzielę całe miasteczko ciągnie na mecz Gola! Gola! Krzyk... A chłopaki dalej go śmieją to, zwinne... Takie! jak ty też się wyprowadza na prostą drogę.”

Coś drgnęło w pierś Henka...! A gdyby tak... — niedopowiedziana myśl wysunęła się ręką i skorupy na chwilę cofnął ją, groźnie marszcząc brwi.

„A co jak ucieknę?... Rozjaśniło się wszystko od tej olśniewającej możliwości. Cała przyszłość leżała przed oczami chłopca jak zielona ogromna równina, po której tylko gnaj, harcuje Wolność!”

Wuj Gordiasz patrzył uważnie na siostrzeńca i w jego wypukłych oczach zamiast wesołych iskier, krzepła twarda decyzja.

W tym czasie księżę wnyki były już zastawione na Henka. Chociaż chłopiec wciąż strzegł się, żeby nie uronić słowa zgody na wyjazd do seminarium, tym razem zdawało się, że spółka matki i proboszcza dopiła swego. Zalatwione zostało pomyślnie przyjęcie ucznia do Instytutu Bożego Ciała w Łowiczu.

„Tutaj mi się po świecie tuli... — Kiwał głową wuj Gordiasz. „A teraz... — patrzył zognionym wzrokiem — fabrykę mamy. Trzeba pokazać przed narodem...”

Heniek słuchał, cicho pospując z przyjęcia. Za oknem zwiast nie-ruchomo biało-szare, jakby zanurzony w rozwodnionej serwatce, marmory dzień. Od czasu do czasu ostry deszcz — zimny podmuch przeszywał powietrze; z wiśniowych różg wiatr uderzał przezroczyste krople, olśniewała woda kulaż marseczyła się w drobne fałdy, nagłe smoliste gązdzę przydrożnych topoli szumiały jękiwie; kawałek naderwanej blachy, zgrzytając huśtała się, pod okapem. Jak gdyby pierwszy raz zobaczył Heniek drogę przez rodzinną wioskę. Pusto było w jednej i w drugiej stronie, tylko stado gęsi biegało na błotnistej rozcioczce. W głębokich koleinach wezbrała żółta piana. Spłachcie brudnego, pokrytego szarym nalotem śniegu, liniały na dnie głębokich dołów.

„A gory... — ciągnął wuj Gordiasz — „gory u nas pod obłoki wyrastają. Pół dnia na taką wdrapujesz się i szczytu dostać nie możesz... A wejdiesz, spojrzysz doł — w głowie wiatrak, sady, pola wszystko zalane słońcem; słonco u nas świeci nie tak, jak tutaj...”

A skąły jakie ogromne Lite; taka góra — jedna olbrzymia skala...”

Na drodze, zza zakrętu wynurzył się wóz, leniwie mijający kołami oślisze bloko Mysia kobyłka Warpasów po peciny grzęzła w rozkiepskiej bry, sennie chwiała opuszczonym brem, a poryw wiatru rozwiewał na bok grzywe i wyliniały ogon. Stary Warpas, nakryty workiem drzemną, utknuwszy długim nosem w czarnych kudłach koczucha.

Heniek słuchał, cicho pospując z przyjęcia. Za oknem zwiast nie-ruchomo biało-szare, jakby zanurzony w rozwodnionej serwatce, marmory dzień. Od czasu do czasu ostry deszcz — zimny podmuch przeszywał powietrze; z wiśniowych różg wiatr uderzał przezroczyste krople, olśniewała woda kulaż marseczyła się w drobne fałdy, nagłe smoliste gązdzę przydrożnych topoli szumiały jękiwie; kawałek naderwanej blachy, zgrzytając huśtała się, pod okapem. Jak gdyby pierwszy raz zobaczył Heniek drogę przez rodzinną wioskę. Pusto było w jednej i w drugiej stronie, tylko stado gęsi biegało na błotnistej rozcioczce. W głębokich koleinach wezbrała żółta piana. Spłachcie brudnego, pokrytego szarym nalotem śniegu, liniały na dnie głębokich dołów.

„A gory... — ciągnął wuj Gordiasz — „gory u nas pod obłoki wyrastają. Pół dnia na taką wdrapujesz się i szczytu dostać nie możesz... A wejdiesz, spojrzysz doł — w głowie wiatrak, sady, pola wszystko zalane słońcem; słonco u nas świeci nie tak, jak tutaj...”

A skąły jakie ogromne Lite; taka góra — jedna olbrzymia skala...”

Na drodze, zza zakrętu wynurzył się wóz, leniwie mijający kołami oślisze bloko Mysia kobyłka Warpasów po peciny grzęzła w rozkiepskiej bry, sennie chwiała opuszczonym brem, a poryw wiatru rozwiewał na bok grzywe i wyliniały ogon. Stary Warpas, nakryty workiem drzemną, utknuwszy długim nosem w czarnych kudłach koczucha.

Heniek słuchał, cicho pospując z przyjęcia. Za oknem zwiast nie-ruchomo biało-szare, jakby zanurzony w rozwodnionej serwatce, marmory dzień. Od czasu do czasu ostry deszcz — zimny podmuch przeszywał powietrze; z wiśniowych różg wiatr uderzał przezroczyste krople, olśniewała woda kulaż marseczyła się w drobne fałdy, nagłe smoliste gązdzę przydrożnych topoli szumiały jękiwie; kawałek naderwanej blachy, zgrzytając huśtała się, pod okapem. Jak gdyby pierwszy raz zobaczył Heniek drogę przez rodzinną wioskę. Pusto było w jednej i w drugiej stronie, tylko stado gęsi biegało na błotnistej rozcioczce. W głębokich koleinach wezbrała żółta piana. Spłachcie brudnego, pokrytego szarym nalotem śniegu, liniały na dnie głębokich dołów.

„A gory... — ciągnął wuj Gordiasz — „gory u nas pod obłoki wyrastają. Pół dnia na taką wdrapujesz się i szczytu dostać nie możesz... A wejdiesz, spojrzysz doł — w głowie wiatrak, sady, pola wszystko zalane słońcem; słonco u nas świeci nie tak, jak tutaj...”

pracami sekcji baletowej, grywał w szachy, bywał w teatrach łódzkich i kinach.

W roku 1950 prowadził kurs języka rosyjskiego dla robotników. Po 6-ciu miesiącach awansował na kierownika produkcji. Tego roku powstaje przy zakładach klub racjonalizatorów do którego wstąpił świeżo mianowany kierownik.

*

Dramat rozpoczął się u szczytu sławy — nawpół żartobliwie powiada Dżerski Siedziwny w jego gabinecie Olbrzymie regaly wypełnione książkami. Nie przeczytał nawet ich dziesiątej części.

Na czym ów dramat polega? Oto funkcja kierownika produkcji zaczęła Stefana tak dalece pochłaniać, że ośmiodziesiętny dzień pracy stał się dla niego fikcją. Zakłady pracują na trzy zmiany, każdej z nich chce oświadczyć „Prowadzi” Prowadzi sekcję szachową, bywa nieustannie w klubie racjonalizatorów, współzawodniczy z młodymi wynalazcami. Odbywa stałe narady w organizacji partyjnej, to znów z członkami Rady Zakładowej. Idzie nowy rok szkolny, jego zakłady muszą wykonać plan produkcji podręczników a nadzwyczaj A w ciągu roku pracy jest nie mniej. Na książki czeka rozbudzony w kraju czytelnik. To tylko on nie może ich czytać. Coraz częściej zdarzało się że zmęczonemu wypadała z ręki ledwo rozpoczęta książka. Kiedyś jako robotnik wyjeżdżał z ekipami na wieś, występował na akademiach w domach ludowych i świetlicach, bywał w kinach i teatrach.

Daś weźmie do ręki ko najwyżej książkę o sensacyjnej fabule, współczesnej literatury polskiej wcale nie zna.

Dżerska, która ukończyła niedawno kurs i jest wzorową, przodującą bibliotekarką pogłębia dramat dyrektora ostrymi uwagami. Atakuje go jako żonę i jako działacza kulturalny, aktywistę Ligi Kobiet. Bo rzeczywiście — odkąd został w roku 1951 dyrektorem naczelnych zakładów — nie bywa prawie wcale w domu. Ten gawędziarz, który w ciężkich przedwojennych latach ze wzruszeniem opowiadał jej, prostej „flajerce” swoje wrażenia z przeczytanej lektury, proponuje jej dziś cyk — jako jedyną rozrywkę. Nazywa go „sublokatorem” i to przeważnie boleśnie rani Dżerskiego, tym więcej że jest podchwytliwe skwapliwie przez sąsiadki.

Dżerski nie jest szczęśliwym. Przebywa w zakładzie 10—12 godzin na dole. Przeprowadza plany produkcyjne, prowadzi robotę administracyjną, ogląda na salach produkcji, wysiadyje na wszystkich zebraniach. Jest jednym słowem wszędzie.

Kiedy go pytam, do jakiej właściwie kategorii pracowników zalicza się, odpowiada ze smutkiem — „do zaoranych po użyciu”.

*

Stefan Dżerski jest przedstawicielem naszej nowej, wyrosłej z ludu, inteligencji technicznej. Nie kreujemy go na stuprocentowego bohatera tej opowieści, gdyż popełnił pewien zasadniczy błąd, który powinien co rychło usunąć. Obserwowaliśmy go w pracy przez szereg tygodni i z całą pewnością możemy stwierdzić iż przyczyną jego „zoranian” nie są odgórne czynności i nie partyjne instancje, chociaż Dżerski w nich właśnie upatrzył przyczyn swego zwężenia się do czynności ściśle zawodowych. Twierdzi nianowicie, że go przeciążała praca.

Niedawno byliśmy świadkami gwałtownego wybuchu ze strony jego żony — bibliotekarki. Zapisujemy jej słowa niemalże dosłownie.

— „Nie ma na ten brak czasu ratunku — powiada? A dlaczego ty za urzędników prowadzisz buchalterię? Im przecież w to graj? Zawsze się będą tobą posługiwali! Dlaczego planujesz za planistów? W ten sposób nigdy się niczego nie nauczy! Dlaczego prowadzisz każde zebranie, czy nie wierzę, że tak jak ty wyrosło wielu innych ludzi, którzy potrafili przeprowadzić szkolenie? Na zjazd przedowników wysyłaj swoich najlepszych ludzi, niech reprezentują zakład, niech się uczą sztuki przekazywania doświadczeń, młodemu ZMP-owcowi pozwól samodzielnie opracować referat tak, jak tobie pozwoliła Partia, niech porządnie skrytykują planistę,

ZOFIA BARCHANOWSKA

ŻNIWA 1952 ROKU

W LISIE, wysłanym do Piotra Kluźka, małego chłopca z gromady Kleniewo (pow. Koszęcin) postawiliśmy pytanie: Jaką różnicę widzi między pierwszymi żniwami po wyzwoleniu a żniwami w r. 1952? Kluźnik odpowiedział krótko. Różnice są dwie: jedna — żniwa teraz są zorganizowane. To znaczy, że jest plan wykonania zbiorów, uwzględniający porę i długość trwania sprzętu, wykorzystanie maszyn, polowe prace po-



Foto — CAF

wne, omloty. Druga — żniwa odbywają się zbiorowym wysiłkiem gromady.

Kluźnik utrafił w sedno. Te dwie sprawy: organizację żniw i społeczny stosunek do nich, musimy mieć stale na względzie, ocenając przebieg tegorocznych sprzętów zbóż.

Leży przede mną około 20 listów chłopskich z różnych stron kraju. Prosił ich autorów, aby napisali do nas, jak przeprowadzili żniwa w swych gospodarstwach. Lecz w odpowiedziach uderza jedno, że chłop nie najpierw o całej gromadzie, a dopiero potem z całości wykazuje własną gospodarkę i własną rodzinę. Gdybyśmy z listów wycieli to tylko, co odnosi się do jednego gospodarstwa chłopskiego, n.e. byłoby w stanie zrozumieć prawdziwość i związków określających przebieg żniw w r. 1952.

Oto, w jaki sposób ujawniają się te związki.

„Sołtys poszczególnych gromad zrobił wykazy potrzebujących pomocy w czasie żniw. Prezydium GRN sporządziło listy, kto ma świadczyć pomoc, jakiego rodzaju, przez ile dni i na czym korzystać. Ci, którzy mają świadczyć i ci, którzy potrzebują pomocy, dostali imienne zawiadomienia, ponadto plany pomocy sąsiedzkiej były wydrukowane w sołtyśach” (Chrzanów pow. Krasńnik). A więc akcja zaplanowana, realizacja wcześniejszego przemyslenia przyszłości.

„U nas żniwa odbywały się zbiorowo, bo jest tylko 39 koni na 160 numerów. Grupy chłopów przechodziły po kolei do gospodarstwa do gospodarstwa”. Jaskółka Józef (Szczepanów, pow. Krosno). A więc wspólna praca, bez której przy 75 proc. gospodarstw bezkonnym trudno byłoby mówić o terminowym sprzęcie.

„Sasiad sąsiadowi pomaga: dziś ja u ciebie, jutro ty u mnie i tak robota idzie sprawnie”. Pelinko Franciszek (Przytecko, pow. Strzelce Krajeńskie). A więc wprawdzie żywiołowość, dowolność, ale już wspólne podejście do zadań, by „robota szła sprawnie”.

„Zorganizowano zetemowskie brygady żniwne. Młodzież pomaga tym, którzy najbardziej potrzebują pomocy, jak np. ob. Czerwinski, wdowie po zamordowanym działaczem demokratycznym...”. Chojnowski Stefan (Ciemięwko, pow. Ciechanów). A więc wciąganie również do akcji młodzieży wiejskiej, która zjechała się ze szkół i przemysłu na urlopie i ferie.

Te cztery formy: planowa pomoc sąsiedzka, sprzęt zespołowy (w gromadach gospodarujących indywidualnie), pomoc zorganizowana, młodzieżowe brygady wyodrębniają się w listach zupełnie wyraźnie. Zadzajmy sobie pytanie, dlaczego właśnie w tym roku ujawniły się szczególnie silnie te formy pomocy? Przemyślimy, jakim podlega kraj, wymagający nowych form pracy, rozwijający się przemysł wyciąga coraz więcej ludzi ze wsi, w związku z tym wystąpiły pewne trudności z siłą roboczą, ale z pomocą przychodzi — maszyny.

Jaka tu kalkulacja? Przy sprzęcie sierpem potrzeba na 1 ha 10 dniówk żenów. Kosiarz kości od 2-3 arów na godzinę. A teraz maszyny: żniwiarka, którą obsługuje jeden człowiek, zetnie w godzinę od 25 do ponad 35 arów. Jeszcze większa oszczędność robocizny ujawnia się przy snopowiązałce — odpada robotnie powróseł, zbieranie garści, wiązanie snopów.

Tegoroczne żniwa przebiegały pod znakiem maszyn. W każdym liście chłopci podają liczbę żniwiarek, kosiarzy, snopowiązałek — prywatnych i z GOM-u, pracujących na chłopskich polach. „W naszej gminie mamy o połowę więcej maszyn, niż w zeszłym roku” (Kowale, pow. Olecko). „Nikt już nie uważa, że straty przy żęciu sier-

pem są niskie, a sprzęt dokładniejszy i silny nie pomija. Te małe straty są tylko pozorne, bo występują inne: powolny sprzęt i połączone z tym wysypywanie ziarna, duża ilość robocizny, zmniejszenie plonu siewu (wysoka ścierna)”.

Ofensywa maszyn na wieś każe myśleć o nowej, lepszej organizacji pracy. Oto z Izby Kujawskiej w pow. Koło donosi nam Bolesław Kompanowski: „Trzy gromady w naszej gminie zawarły umowy z P.O.M-em na zbiorowy sprzęt zbóż”.

W taki sposób maszyna jednoczy gromadę, ukazuje nowe perspektywy.

Nie wszędzie, oczywiście, dadzą się w pełni zastosować maszyny. Oto np. ze Szczepanów pow. kroszeńskim pisze Józef Jaskółka: „Gromada nasza liczy 160 numerów, a w mieście pracuje 120 mężczyzn i 80 kobiet. Maszyna ich jeszcze nie zastąpi, bo każdy chłop ma własne pole a długie, jeden gospodarz zasiewa jednym gatunkiem zboża 14-28 arów, to jest za mało na maszynę”.

Od takiego stwierdzenia już tylko krok do zrozumienia istoty gospodarki zespołowej.

Pełne widzenie gromady przenosi spojrzenie chłopów na gminę do trzech znajdujących się tam ośrodków dyspozycyjnych. Do Gminnej Rady Narodowej, która dopinowuje planu pomocy sąsiedzkiej, przeprowadza kontrolę przygotowań i wykonania akcji; do Gminnego Ośrodka Maszynowego, który decyduje o gotowości maszyn; do Gminnej Spółdzielni, mającej za zadanie zaopatrzenia wsi w artykuły przemysłowe i konsumpcyjne.

Wysięk gromady musi być powiązany z pracą całej gminy i jej aparatu wykonawczego. Gdy trudno gromadnie przełamać trudności, występuje o pomoc do gminy. Przykładem niech będzie meldunek z Żywickiego:

„Michał Hulbó z Moszczanicy odmówił pomocy sąsiedzkiej biednej wdowie Tomaszowej. Adam Butorz i Józef Mydlarz z Oczkowa nie chcieli pomagać małodolnym wdowom. Gromady interweniowały w gminie i Prezydium GRN ukarało ich grzywną”.

Pracę ośrodków maszynowych większość autorów listów ocenia pozytywnie. Czujne oko chłopów wykrywa każdy błąd i szuka dróg dla przezwyciężenia trudności. „Napisałem notatkę do „Gazety Krakowskiej”, że nasz ośrodek maszynowy nie dostarczał nam na czas żniwiarki. W rezultacie w ciągu paru dni żniwiarka już była w gromadzie” (A. Korołczyk — Tymbark, pow. Limanowa).

„Kierownik GOM-u nie dopilnował remontu maszyn. Na interwencję chłopów Prezydium GRN pociągnęło go do odpowiedzialności i niedociągnięcia zostały naprawione” (Stawata Antoni — Wołowiec, pow. Nowogard).

Od GS-ów wymagają chłopci dostatecznego zaopatrzenia w kosy, osetki, bakki, lemiesz, napoje chłodzące, pieczywo. „W sklepie Gminnej Spółdzielni wszystko było w dostatecznej ilości, a nawet zmieniono godzinę otwarcia sklepu, aby chłopom było najwygodniej” (Miośław, pow. Września). — chwalił właściciela prac GS korespondent. Ale inny ma pretensję i słusznie: „Nasiona poplonów powinny być tygodni lub dwa naprzód, a nie dopiero, jak rolnik ma siarę, a jak przyjdzie do sklepu, to 10 gospodarzy dostanie a reszta nie” (Przytecko, pow. Strzelce Krajeńskie).

Te przykłady pokazują, że do bitwy o sprawnie wykonanie żniw zostały uruchomione olbrzymie rezerwy kadrowe. W ogniu zesłorocznej bitwy o skup, i tegorocznej — o siewy wyrosli nowi aktywiści, z nich to powstały teraz czuwające nad przebiegiem żniw zespoły gminne i gromadzkie. A ich praca? „Zespół gminny wyciągnął do akcji 5 prywatnych kompletów omlotowych, dotychczas niewykorzystanych” (Izba Kujawska, pow. Koło). „Zespół gminny tak pokierował pracą, że rolnicy którzy nie mają koni, pierwsi dokonali sprzętu zbóż przy pomocy sąsiedzkiej” (Margonin, pow. Chodzież).

Tak więc żniwa przestały być sprawą własnego podwórka. Chłopi donoszą bowiem z dumą: „Zobowiązaliśmy się wykonać żniwa w ciągu tygodnia” (Helenów, pow. Koło). „w ciągu 8 dni” (Stróżewo, pow. Grudziądz). „...w ciągu 5 dni” (Radomyśl, pow. Tarnobrzeg).

„Żniwa w naszej gromadzie już w 100 proc. skończone. Przystępujemy do omlotów, w tym miesiącu już pierwsze wozy naładowane zbożem potoczą się do spółdzielni...” (Franciszek Starzyński, Wychyn, pow. Kutno).

„W obecnej chwili hasło naszej gromady brzmi — plan skupu zboża wykonany w całości do końca sierpnia” (Monika Nowak, Stufce, pow. Chodzież).

Oto chłopka odpowiedź — trzeba przyspieszyć żniwa, aby za pomocą produkcyjną, maszyn, wyroby przemysłowe poszły do miasta jak najspieszniej chleb dla robotników. W roku bieżącym cykl produkcyjny przetrwał już bezprzerwy, cykl wymiany towarowej — a to podkreśla w jeszcze silniejszy sposób ogólnonarodowy charakter produkcyjnego wysiłku chłopów.

Zofia Barchanowska

KRYSZYNA PAŁYS

DR BAŁASZ NIE JEST SAMOTNY

D LACZEGO uciekali stąd jak z zapowietrzonych miejscowości? Doktor Bałasz nie odpowiada przez dłuższy czas. Zastanawia się.

— Nie byli to ludzie złej woli, ani też niechętni, ale wszyscy nie mieli przygotowania do samodzielnej pracy. Każdy z jego poprzedników uważał szpital w Siedliszcu za punkt przesiedleńczy, ot czuł się jak w poczekalni dworcowej. Praktyka w szpitalu była dla nich niemiłym etapem, który starali się skrócić w miarę możliwości.

Pewnego jesiennego dnia, po zbiciu chorej i wylumaczeniu sąsiadce, jak ma się z nią obchodzić, doktor Bałasz każe się wieść czym prędzej przed Gminną Radę Narodową w Siedliszcu. Przypomniał sobie, że odbywa się tam zebranie sołtyśów. Zeskakuje z wozu, wchodzi na sął i siada w obłokach machorkowego



Fot. — K. Wierucki

dymu, starając się dostrzec ludzkie twarze. Po wyczerpaniu porządku obrad zabiera głos i przystępuje do spraw: Pałac w Chojenku — dzisiejsza szkoła — musi być rozebrany, gdyż po pierwszym deszczu ściany mogą runąć na głowy dzieci. Nawet poitrze może być za późno, a każdy dzień zwłoki może kosztować ludzkie życie. W krótkim czasie nie zrobią tego chłopcy z Chojenka, musi im pomóc cała gmina. Jeśli sołtys potrafi przekonać ludzi w swoich gromadach, żeby w czynnie społecznym zwinili cegłę i gruz do Siedliszcza, on podejmie się rozpoczęcia budowy izby porodowej, żeby raz na zawsze żony chłopów miały zapewnioną opiekę i pomoc lekarską, żeby mogły przeżyć ciężkie dni pod jego dozorem.

Chłopi po raz pierwszy zobaczyli lekarza troszczącego się o ich sprawy. Dotychczas zwykłe szukali jego poprzedników sami. Z oczu mu do brzo patrzyli, słyszeli że niejednego wyleczył. Doktor Bałasz spotkał tylko jednego oponenta na zebraniu zwołanym później w Chojenku.

— Niech cegły i gruz wożą ci, co mają młode żony. Mnie i mojej starej takiej izby nie trzeba, prędzej przydałyby się cztery deski na trumnę, bo coraz bliżej człowiekowi do rozstania z tym światem — niby żartował.

— Zgoda, ale pamiętajcie, biorę wszystkich tu zebranych na świadków, że jeśli straciecie ochotę do oglądania tamtego świata i przyjdzie do mnie, żeby wam pomóc, to przypomnę wam co powiedzieliście przed chwilą — odpowiedział doktor.

W izbie zahuczało od śmiechów. — Nie przeczytrajcie, stary, doktora, bo nie znacie ni dnia ni godziny, w której będzie wam potrzebny.

W ciągu tygodnia 450 chłopskich wozów z całej gminy zwoziło cegły i gruz na plac budowy koło szpitala. W grudniu 1950 roku położono już fundamenty i prowadzono budowę z oszczędności uzyskanych w szpitalu. Plany i kosztorysy opracował sam doktor przy pomocy architekta powiatowego. Po miesiącu stały już ściany i położono więzby dachowe. Gdy cieśle zatknęli na szczyście wieche, zabrakło gotówki. Pomoc mogła dać tylko Centralna Poradnia Macierzyństwa i Zdrowia w Lublinie, tam też wysłał doktor pismo, w którym każde zdanie było wołaniem: Dajcie pieniądze!

W Lublinie nie bardzo wierzyli w powodzenie przedsięwzięcia lekarza z Siedliszcza i wysłali na miejsce komisję. Wrócił wtedy dr Mazur z kolegą i melduje: Stoi w osadzie izba, trzykrotnie większa od szpitala. Po wykończeniu będzie to najokazalszy gmach w Siedliszcu, jeśli sędzić podług tego, co widzieliśmy w stanie surowym. Formalności przy przekazaniu pieniędzy zajęły pewien czas. Roboty wewnątrz budynku prowadzono w zimie i wczesną wiosną. Doktorowi przybyło wtedy nowe zajęcie — podróże do Warszawy, Katowic i Krakowa w poszukiwaniu za potrzebny materiałami, a oprócz tego omawianie z majstrami jak mają wykonać jego pomysły racjonalizatorskie. Chciał mieć wszystko takie, jak sobie wyobrażał: ściany wykładane glazurą berlińską, przynies z gorącą i zimną wodą itd. i wszystko tam teraz jest — ściany wykładane kafkami z NRD, artystyczna studnia z motorem o elektrycznym napędzie, piece kaflowe z wpuszczonymi wewnątrz rurami w łazience,

mieszkania służbowe na poddaszu, a właściwie na drugim piętrze.

Z początku kobiety przychodziły niechętnie, bo ktoś je straszył po wsiach wysokimi opłatami. Skoro jednak pierwsza, druga i dziesiąta zapłaciły tylko część kosztów — przybywało położyć po kilka dziennie z Siedliszcza, z sąsiednich gmin i powiatów. W lipcu b. r. wpisano uroczyste do księgi datę przybycia na świat 700-nego z kolei obywatela.

Izba porodowa w porównaniu ze szpitalem — to wspaniały gmach. Oba budynki łączy starannie utrzymany ogródek, oddzielony ulicą od weteropu, ogładanych z zainteresowaniem przez lekarza w pierwszych dniach pobytu w szpitalu. Pokryty lejami i dolami plac, był niegdyś placem ćwiczeń dla „strzelców” Piłsudskiego, później kopalnią piasku, a w końcu miejscem grzebania padłych zwierząt. Poczciwi obywatele Sie-

dy lekarz korzystając z niego podsuwał radnym myśl: Odstąpić torfiaste łąki za młodym parkiem na rzecz Ludowych Zespołów Sportowych. Sprzeciwiać się tej propozycji nie było powodu — gmina i tak ma kłopot z administracją nieużytków, a dochodu żadnego.

Szło wtedy już ku wiosnie i należało pomyśleć w jaki sposób uczcić święto 1-Majowe. Obywatele Siedliszcza czuli się nie gorszymi obywatelami od tych w Warszawie czy Lublinie. Czyż nie mieli już za sobą doświadczeń w pracy społecznej na terenie parku? Upiera się doktor i kładzie każdemu w uszy, żeby zakładać stadion sportowy i budować basen pływakki na tych gruntach darowanych LZS-om. Niech będzie basen!

Wybory do komitetu budowy basenu odbyły się przy akompaniamentie burzliwych oklasków, grzmiących przy każdym wymienieniu nazwiska. Weszli do niego ludzie najpopularniejsi w Siedliszcu — sekretarz Komitetu Gminnego PZPR, przewodniczący GRN-u, sekretarz i przewodniczący LZS-u. Na czele postawił doktora, bo już pokazał co potrafi i do sprawy palił się najwięcej. Najważniejsze, że umiał zawsze zakreślić, gdzie trzeba, aby były subwencje.

Pieniądze rzeczywiście znalazły się. Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej wypłacił trzydzieści tysięcy złotych i dostarczył planów. Rozpoczęło się kopanie dołu pod basen. Tym razem znów pierwsi przyszli ludzie z gminnej spółdzielni, oni zawsze znajdowali czas na roboty społeczne. Nie mogli dorównać robotnikom rolnym z PGR-u w Mogielnicy, chociaż tamci musieli każdego dnia zrobić cztery kilometry drogi z topatami na ramieniu. W śmiganiu topatą mógł się z nimi równać tylko jeden człowiek w Siedliszcu — sam doktor. Ten to miał siłę! A wprawdy jakżeż nie miał nabrać, kiedy każdego dnia przed wieczorem stawał się regularnie i z miejsca brał tempo, że kopać koło niego wazyli się tylko młodzi albo ci z Mogielnicy. Znalazł już jego punktualność i gdy ktoś dostrzegł pierwszy, że idzie pomiędzy drzewkami młodego parku zaraz meldował: Doktor już idzie, piąta dochodzi.

Do lipca wychodziło co dzień na łąki koło dwustu ludzi. Nadeszła jednak chwila, w której cały zapal ludzki poczęł gasnąć. Natrafiono pod warstwą torfu na margiel, kopata już nikt nie mógł dać rady, trzeba było walić kilofem.

— Skąd wziąć tyle kilofów? — Iamał sobie głowę doktor.

— Skąd brać tyle siły, żeby rozbijać taki kawał skały? — cicho pytali sami siebie ludzie, głośno tego powiedzie doktorowi nikt jakoś nie miał odwagi. Przychodził teraz mniej ochotników do pracy, ale każdego dnia jeszcze ktoś grzebał w marglu, aż do wyjazdu lekarza na urlop.

Pierwszego dnia po powrocie, zaraz po badaniach chorych w szpitalu pobiegł dr Bałasz za park. Rozgrzeba-



Fot. — K. Wierucki

przyprowadził sam komendant, mimo że w kopaniu przeszkadzał mu trochę nadto wydatny brzuszek. Niektórzy nawet twierdzili, że po kilku tygodniach pracy co teźsze figury z osady nabrały lepszej linii. Zima była tego roku lekka, tak że do stycznia codziennie około dwustu ludzi nabrało przy kopaniu dobrej kondycji fizycznej. Potem przyszła odwilż i doktor wszedł w konszachty z kobietami z izby i szpitala, a miał już u nich pewną popularność. Wykopywały baby po wsiach zbijające drzewka, rzuciły w dni targowe na wóz i kazały mężowi wieść do szpitala. W lutym podczas drugiej odwilży obywateli Siedliszcza w wieku od lat 14 do 60 zasadzili te drzewka na zrównanym terenie. Kiedy pękły na nich pierwsze paki, w Gminnej Radzie Narodowej rozległy się na jednym z zebranych huczne oklaski. To przewodniczący prezydium GRN-u wycylił w sprawozdaniu jak na dłoni, że na samej tylko niwelacji parku zaoszczędzono milion złotych (placono wtedy jeszcze starą walutą), a radni dawali wyraz swemu zadowoleniu z osiągnięć osób „odpowiedzialnych za gospodarkę majątkiem społecznym” w osadzie.

— Wszystko jedno, ma ten doktor głowę na karku — przyznawali zgodnie. Jedni z miną pogodną, głośno i szczerze, druzi trochę półgębkiem z kwaskowatym uśmiechem. Entuzjazm na razie był powszechny i mło-

ny margiel bielił się dokładnie na takiej samej głębokości, jak przed jego wyjazdem. Nie wybrano w czasie urlopu ani jednej taczki. Wzburzon pośzedł do tego samego wieczora do jednego z członków komitetu budowy basenu — Witolda Polepszaka. Zaraz od progu zapytał zapytał: Dlaczego nie nie rozbiliście na basenie?

Tamten ociągał się z odpowiedzią. — Co robił komitet? — atakował dalej doktor.

— Ano komitetu już nie ma — wyjął wreszcie Poleszuk uciekając spojrzeniem gdzieś w bok. — Rozleciał się.

W miarę jak Poleszuk opowiadał, wystrzeliły się spokojne, regularne rysy twarzy lekarza. Dowiedział się, że wpływowo osobistości z Siedliszcza zdecydowały, żeby basen złożyć na... targowisku. Nawet dyrektorka szkoły licealnej przyłączyła się do grupy reformatorów. Dr Bałasz został na swoich pozycjach samotny.

Na najbliższym zebraniu prezydium GRN-u zaatakował on ostro nowe koncepcje, płomienne jego mowy zdawały się robić pewne wrażenie na sesjach, ale na placu robot nikt się nie pojawiał więcej. Wszyscy uważali projekt dr Bałasa za niewykonalny. Motywowano niemożnością doprowadzenia do basenu wody. Żeby skończyć raz na zawsze z niedorzecznymi pogłoskami o niższym poziomie wody w Mogielnicy,



Foto — CAF

niż w projektowanym basenie, lekarz ścigał na łąki pod Siedliszczem geometrów z wydziału melioracji PRN-u w Chelmie. Przyjechali, jeden onal się nie utopił w bagnisku, ale wykazali bezpodstawną wywodów jego przeciwników. Nawet i to nie pomagało.

Lekarz zwrócił się o pomoc w kopaniu rowu do Mogielanki do chłopów z całej gminy. Przyszli zaraz po żniwach, bo pamiętali, że nie na darmo wozili gruz i cegłę na budowę izby porodowej. Cztery tysiące dni roboczych ułożyło się na dzień tego rowu, który ciągnęli przez dwa kilometry przez mokradła aż do basenu.

Przed przyjściem mroźów doktor decyduje się płacić ochotnikom za roboty ziemne z otrzymanych na budowę funduszy. Zgłasza się wtedy do niego jedyny kandydat do tej pracy — bezrolny chłop Zygmunt Grzesiuk. Obaj z doktorem biją kilofami w margiel i wywołują skruszoną skałę taczkami. W trzecim tygodniu przychodzi drugi robotnik — małodolny chłop Wilgocki. Potem trzeci — Rywucki, najstarszy majster murarski w Siedliszcu. Przyszedł on nad basen w chwili, gdy zajeżdżał samochód z cementem. Przypatrzyło się robocie z boku kilku dryblasów z rękoma w kieszeniach, a na propozycję doktora, żeby pomogli wydławić, wymienili taką samą, że ten nie dał odpowiedzi i wskoczył na platformę. Sam rozpoczął wyładunek.

Widział to wszystko Rywucki i podszedł do samochodu.

— A może przyjeżdżycie do roboty starego majstra, doktorze? Na pieniądze poczekam, a do betonowania przydam się. Tamci chcą dużo pieniędzy, a ja wezmę co dacie. — A z tym żelastwem to najlepiej jak pojedziecie do Gminnego Ośrodka Maszynowego. Jest tam taki majster Blomka, on też nie będzie o grosz pilił.

Oczy doktora, rozblyśli. Miał nowego sprzymierzeńca. Jeszcze tego samego dnia utworzyli z starym majstrem i Grzelankiem brygadę betonarską. Pracowali aż do nastania mroźów. Na zimę spuścili wodę z kanału, żeby ochronić świeży beton przed pęknięciem. Na przypadkowe lodowisko ścigała z żyłwami młodzież z całej okolicy, a GS i szpital zaopatrzone w lód na całe lato.

Z nastaniem wiosny wodę spuszczone. Pół osady wyszło nad basen łowić ryby w sieci, które zakradły się tutaj z Mogielanki. Roboty ruszyły z pocałunkiem, bo ludziom trzeba było pieniędzy. W kasach komitetu budowy pieniądze topniały z dnia na dzień. Opozycja poinformowana dokładnie o wszystkim rozpęściła nową wieść, żeby odstraszyć robotników: Doktor nie ma prawa w tym roku kończyć basenu, ponieważ nie ma kredytów. Doszło do tego, że lekarz pożyczł pieniądze na własny rachunek i płacił ludziom licząc z góry na nową pomoc. Na szczęście w okolicznych GS-ach nie solidaryzowano się z opozycją i nadsyłano w terminie zamówione jeszcze w zimie: cement i żelazo.

Doktor zapamiętał dobrze jeden z wieczorów. Miał powiedzieć robotnikom, żeby następnego dnia nie przychodzili, ale słowa nie mogły mu przejść przez gardło. Wtedy zauważył, że ktoś biegnie na łąki od strony szpitala. Z odległości stu metrów poznał długonogą prezesa miejscowego LZS-u.

— Młodzie z całej gminy idzie z wami doktorze... w czynie przedzłotowym wykończymy basen! — krzyczał tamten z daleka.

Doktorowi spadł kamień z serca.

Roboty szły potem w takim tempie, że po dwóch tygodniach skończył kucie basenu. Pieniądze też znalazły się — pojechał doktor do Lublina, potem do Warszawy i otrzymał gotówkę niewykorzystaną w innych powiatach i województwach, a przeznaczoną dla młodych sportowców.

Opozycja jeszcze nie dawała za wygraną, chociaż o basenie mówiło już całe województwo. Robotnicy ze Zjednoczenia Energetycznego przyjechali i w czynie pierwszomajowym doprowadzili do placu nad basenem linie świetlną i siłową. Wszystkie roboty zakończono na cztery dni przed wyznaczonym terminem otwarcia basenu. Wykopano i wywieziono około 4 tysiące metrów sześciennych

(Dokończenie na str. 7)

ANTON KLUGE

LIST Z WIEDNIA

AGRESYWNE dążenia mocarstw zachodnich w stosunku do Austrii pozostają w wyraźnej sprzeczności z postanowieniami Układu Kontrolnego z 28 czerwca 1946 r. Układ ten, zawarty przez Związek Radziecki, Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Francję bez czynnego współudziału Austrii, uwzględnił jednak istnienie rządu austriackiego i jego organów wykonawczych. Organem kontrolnym, wyłonionym przez cztery mocarstwa okupacyjne, miała być „Sojusznicka Komisja dla Austrii”. Jednym z jej zasadniczych zadań było utrzymanie niezawisłości państwa austriackiego oraz do czasu ostatecznego ustalenia jego granic — zapewnienie ich nienaruszalności, według stanu z 31 grudnia 1937 r. Do spraw wyraźnie zastrzeżonych dla bezpośrednich zarządzeń Sojuszniczej Komisji należało między innymi, demilitaryzacja we wszelkim zakresie: wojskowym, gospodarczym, przemysłowym, naukowym i technicznym.

Tymczasem Stany Zjednoczone łamiąc systematycznie zobowiązania

lem i Włochami, gdzie miasta portowe Genua i Livorno są rozbudowane jako ważne bazy morskie dla transportów amerykańskich.

Amerikanie nie ograniczyli się do remilitaryzacji okręgu Salzburga, lecz przystąpili w Tyrolu do rozbudowy centrum wojskowego w Salzbachu i obozów wojennych w Eschnitztau i Aum.

Na wzór Amerykanów Anglicy przystąpili do remilitaryzacji Karyntii, która ostatnio nabrała większego znaczenia strategicznego z uwagi na politykę zbrojeniową sąsiadujących z nią Włoch i Jugosławii. Anglicy tworzą tutaj centrum wojskowe w okolicy miasta Villach.

W agresywnych planach amerykańskich przeznaczono rejonowi Alp Austriackich podwójną rolę: bazy dla ofensywnych operacji oraz na wypadek niepowodzeń i klęsk armii atlantyckiej — twierdzy obronnej, trudnej do zdobycia, czyli rolę wojskowego „reduitu”, wyznaczoną Alpom Austriackim już w planach hitlerowskich, unicestwionych swego czasu przez



międzynarodowe, dotyczące Austrii, od szeregu już lat wiążą ją strefy okupacyjne Austrii do zachodnio-europejskiego systemu militarnego. Te zamierzenia polityki amerykańskiej ujawniły się już w początkowych pertraktacjach, dotyczących Austrii. Zachodnie mocarstwa torpedowały zarówno na Paryskiej Konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych w lipcu 1946 r. jak i na Moskiewskiej Konferencji wiosną 1947 r. oraz wreszcie na Konferencji Londyńskiej w listopadzie 1947 r. opracowania układu pokojowego z Austrią. Wysunęły sprawę dalszego pozostawienia w Austrii wojsk okupacyjnych, które według propozycji, wysuniętych przez Związek Radziecki, miały opuścić Austrię w 90 dni po podpisaniu traktatu pokojowego. Układ pokojowy z Austrią był jeszcze bardziej odkładany po zawarciu, w kwietniu 1949 r., Paktu Atlantyckiego. Uchwała powzięta na Konferencji Ministrów Spraw Zagranicznych w Paryżu (22.VI.1949 r.), zalecająca opracowanie projektu układu pokojowego z Austrią do dnia 1 września 1949 r. nie została wykonana. Mimo iż zasadnicze punkty układu były uzgodnione, pertraktacje, podjęte w Nowym Jorku, zostały przez państwa zachodnie zerwane w dniu 15 grudnia 1949 r.

Stany Zjednoczone realizowały w ten sposób swoje plany, aby Austrię włączyć do łańcucha państw, tworzących linię amerykańskiej agresji w Europie, linię biegnącą od granicy jugosłowiańskiej poprzez Niemcy Zachodnie aż do Morza Północnego. Austria tworzy nieodzowne ogniwo w tym łańcuchu.

Już w 1948 r. rozpoczęto w okręgu Salzburga budowę obozów wojskowych, składów amunicji i magazynów w miejscowościach, położonych przy ważnych drogach strategicznych. W maju 1951 r. dowódca amerykańskich wojsk okupacyjnych generał Irving podał do wiadomości, że obok Salzburga między Wals i Siedenheim, powstanie oboz wojskowy, na który zajęto obszar 200 ha. Nie bacząc na żadne protesty, Amerykanie, pracując na trzy zmiany, wybudowali w przyspieszonym tempie koszarę, przeznaczoną na 25.000 żołnierzy. Rozmiar i ilość budowli świadczy jednak, że w rzeczywistości przeznaczone są na znacznie większe oddziały wojska. Już po kilku miesiącach koszty budowy przekroczyły 200 milionów szylingów, gdyż oprócz koszar buduje się lotniska, magazyny, podziemne składy paliw płynnych itp. Strategiczne znaczenie nowego ośrodka wojskowego, położonego tuż pod murami Salzburga, miasta Mozarta, nie ulega wątpliwości. Salzburg jest połączonej poprzez rozbudowane autostrady z Niemcami Zachodnimi, ponadto kolej z Górą Austrią, gdzie się znajduje najdalej na wschód wysunięta baza amerykańska, wreszcie poprzez Reichenhall z Tyrolu.

szybkie zwycięstwa armii radzieckich.

Polityka remilitaryzacyjna zachodnich mocarstw okupacyjnych spotyka się z pełnym umaniem rządu austriackiego, popieranego w szczególności przez Austriacką Partię Ludową i Partię Socjalistyczną. Szereg polityków tych partii wniosło na konferencji londyńskiej, omawiającej zawarcie układu pokojowego z Austrią, memorandum domagające się utworzenia armii austriackiej w sile 53.000, wliczając w to żandarmerię i straż celną, z lotnictwem obejmującym 90 samolotów. W miarę, jak Austria, poprzez plan Marshalla, coraz głębiej była wciągana w amerykańskie przygotowania wojenne, członkowie austriackiej polityki rządowej domagali się coraz natęższej własnej armii. Bezpośrednio po zawarciu paktu atlantyckiego tworzenie nowego austriackiego Wehrmachtu weszło w fazę realizacji. Przystąpiono wtedy do rozbudowy żandarmerii, przekształcając ją w zamaskowany, czarny austriacki Wehrmacht. Batalionom żandarmerii przydzielono czołgi. Słusznie pisał o tej żandarmerii wiedeński publicysta Bruno Frei w „Weltbühne” z 26 lutego 1952 r.:

„Jest to zaiste żandarmeria specjalnego typu. Do ścigania złodziei kieszonekowych używa amerykańskich tankietek. Aby ćwiczyć się w łapaniu złodziei drobiu, urządza pod inspekcją amerykańskich oficerów ćwiczenia nocne z użyciem karabinów maszynowych”.

Wydana w 1951 r. przez Austriacką Radę Pokoju „Biała Księga” w sprawie remilitaryzacji Austrii zawiera liczne materiały, oparte na dokumentach i fotografiach, wykazujące stopień i rozmiar tej remilitaryzacji. Przygotowania wojenne w Austrii, jak wynika z tych materiałów, są już daleko posunięte.

Ostatnio kanclerz austriacki Figl podczas swego pobytu w czerwcu 1952 r. w Stanach Zjednoczonych zapewnił oficjalnie, że Austria poczuwa się do obowiązku popierania „polityki siły” uprawianej przez USA.

Ale polityka amerykańskiej agresji sprzeciwia się wyraźnej woli poważnej większości narodu austriackiego, wyrażającej się żywym udziałem w akcji zbierania podpisów na rzecz zawarcia traktatu pokoju oraz 954.789 podpisami, zebranymi pod Apelem Sztokholmskim.

Austriacki ruch pokoju, który stanowi potężną bazę oporu narodowego szerokich rzesz ludności, ma potężne zaplecze w całym światowym obozie pokoju. Wyrazem zaufania, jakie obóz pokoju żywi do ruchu austriackiego, jest zvolanie do Wiednia w końcu 1952 r. Światowego Kongresu Narodów w obronie pokoju.

Anton Kluge



ALECSANDRU TOMA

NA 23 SIERPNIA

O dniu wolności! po latach klęsk
Dwudziesty trzeci sierpnia zwycięski!
Trąbka nad Wolgą — a trąbce wnet
Od Karaimanu wtóruje flet.

Armia nam tarczą — Stalin pochodnią,
Kres barbarzyńskim rządcom i zbrodniom!
Odtąd rumuński, dzielny nasz lud
Ma nowe prawa u nowych wrót.

Przekłete wczoraj wali się, pęką —
Skarby stuleci znów w naszych rękach
Synowie pracy — z asfaltu front —
Zapał roboty zapala lont.

Walka trwa dalej — głosząc przed światem:
Dość głodnych dzieci, dość panów z batem —
W braterskim marszu na wolny szlak
Jak gór karpackich swobodny ptak.

Tłum. z rumuńskiego Dusza Czara-Stec
i Włodzimierz Lewik

ANDRZEJ SKIBA

Cena ucisku

„**C**ZASAMI — mówił niedawno brytyjski minister kolonii, Lennox-Boyd — czasami okazuje się rzeczą konieczną niszczenie zbiorów, zarówno gdy znajdują się w ręku partyzantów, jak i wówczas, gdy mogą znaleźć się w ich zasięgu. Zdaniem rządu Jej Królewskiej Mości i wysokiego komisarza na Malajach, środki takie mogą przyspieszyć zakończenie na półwyspie obecnej wojny, która staje się zupełnie nie do zniesienia”.

Sztuczność i urzędowość, a nawet abstrakcyjność określeń w ustach przedstawicieli rządu nie jest tylko przejawem ciężkiego stylu parlamentarnego. Abstrakcyjność formuły służy wyraźnym celom: stopnia wrażliwości opinii, rozbioru sumienia, uchyla poczuć współodpowiedzialności za zbrodnie — odbarwiona, ujęta w ogólnikowe definicje „naukowe”, ukazana w postaci „naturalnego” procesu gospodarczego i socjologicznego. Tak standardowy ideolog ludobójstwa, Bertrand Russell, mówi o „konieczności polityki depopulacyjnej” mającej na myśli wojnę. Wojnę przy pomocy metod najbardziej niehumanitarnych i okrutnych, co w jego słownictwie nosi nazwę „środków skutecznych”.

Bomby napalmowe padają na Koreę i Vietnam. Półtonówki płynnego ognia zmieniają w płonące żużle miasta i wsie, owoce pracy ludzkiej i samych ludzi. Wojny bakteriologiczne wypierają się Amerykanie na Korei. Wojny bakteriologiczne nie wypierają się Anglicy na Malajach. Komunikaty sztabowe wydawane w Kuala-Lumpur mówią o „zrzutach „hormonów przeciwróżniennych” na pola ryżowe, co powoduje zupełnie zniszczenie zbiorów. Ludność nie ginie — to prawda — z tyfusu, czy cholery. Umierać ma śmiercią bardziej powolną — śmiercią głodową. Najpierw dzieci i starcy, potem kobiety, a wreszcie — zienawidzeni powstańcy”.

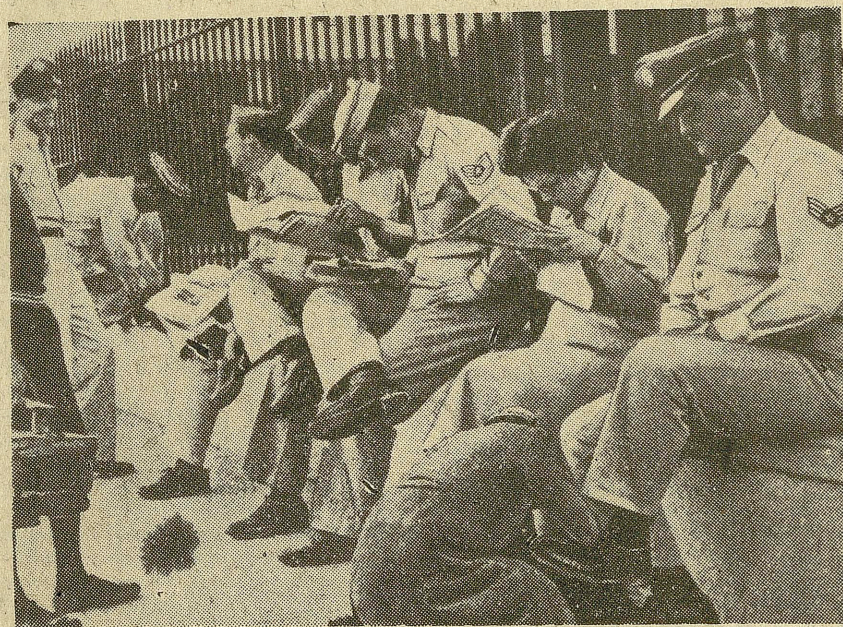
Wynikiem jest wzrost oporu, zwiększanie się szeregów powstańców. Uprawa plantacji malajskich wymaga dziś obecności całej olbrzymiej i kosztownej armii i możliwa jest tylko w bezpośrednim zasięgu baz wojennych. A podobny stan rzeczy istnieje lub narasta we wszystkich pozostałych koloniach brytyjskich. W początkach bieżącego stulecia, a nawet jeszcze w okresie międzywojennym, imperium kolonialne było dla W. Brytanii źródłem olbrzymich dochodów. Było źródłem zysków tak wielkich, że monopole angielskie mogły z po-

wodzeniem rzucać dość znaczne kwoty na przekupywanie arystokracji robotniczej, na tworzenie w szeregach robotniczych „białej gwardii” pseudo-socjalistów stowarzyszeń najlepszej oparcie burżuazji. Oportunizm typu Macdonalda był tarczą ochronną kapitalizmu, największą zapora dla ruchów rewolucyjnych.

Dziś według urzędowych optymistycznych statystyk całość wszystkich zysków z kolonii brytyjskich

milardów. A cena ucisku rośnie zastraszająco. Cena ucisku to mierzące podatki, spadek płac realnych i spadek poziomu życia, dani na krwi i stopienie moralne podcinające żywotność narodu, czyniące go w ręku burżuazji bezwolnym narzędziem i bezwolnym przedmiotem eksploatacji.

Burżuazja państw kolonialnych do tego właśnie dąży. Chce związać narody wchodzących w skład kolonii zysków z kolonii brytyjskich



nie przekracza w przeliczeniu na głowę ludności W. Brytanii 5 szylingów rocznie. Rzecz zrozumiała, że procent jaki z tej sumy przypada „górze” robotniczej jest zupełnie znikomy, że maleją z dniem każdym wpływy spadkobierców Macdonalda, wpływy Attlee i Morrisona i wpływy Bevana — pierwszego i drugiego rezerwy burżuazji.

Ale 5 szylingów na głowę, to tylko teoria. Na drugą szale wagi padają koszty zbrojeń, budowy baz i prowadzenia uciążliwych kampanii kolonialnych. A oprócz tych kosztów w pieniądzu są jeszcze koszty krwi: żołnierze brytyjscy ginący pod zwrotnikami dla utrzymania kruszącej się władzy monopolu górniczego, plantatorów i miejscowych feudalów.

Naród angielski wciąż jeszcze należy do rządu uciskających inne narody, przy czym formy ucisku stają się coraz bardziej brutalne i coraz mniej skuteczne. Lecz wyzysk kolonialny nie przynosi już dzisiaj nawet okruszków ze stołu

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Wolność jest niepodzielna

TEMAT „kolonializm”, w dzisiejszej sytuacji historycznej szczególnie ważny i aktualny, ma w literaturze holenderskiej niebyle jakie tradycje. Już w r. 1860, Edward Dekker, b. urzędnik holenderski w Indonezji, wydał — pod pseudonimem Multatuli — powieść „Maks Havelaar” (wznawiana w polskim tłumaczeniu przez „Książkę i Wiedzę” w r. 1949), która wstrząsnęła sumieniem postępowej ludzkości. Na podstawie osobistych przeżyć, obserwacji i doświadczeń, zdymisjonowany z powodu swych liberalnych i humanitarnych poglądów — Dekker obnażył z niezwykłą jak na owe czasy odwagą, nie-ludzką i ohydą systemu kolonialnego, metody wyzysku i ucisku, stosowane przez holenderskich imperialistów, bezbrzeżną nędzę i upośledzenie ludności tubylczej. Pisząc swą rewelacyjną i oskarżycielską książkę, Dekker powołał się na szlachetnym uczuciem humanitaryzmu, zasadami elementarnej sprawiedliwości oraz gorącym pragnieniem ulżenia doli ciemniejących Indonezyjczyków — drogą moralnej krucjaty przeciwko barbarzyńskiej bezwzględności kolonizatorów. Lecz zrozumienie istotnych źródeł dostrzeżanego zła było Dekkerowi obce: nie zdając sobie w dostatecznej mierze sprawy z ustrojowych, gospodarczo-społecznych założeń imperializmu, Dekker chciał raczej uścisnąć powierzchowne symptomy choroby, niż leczyć ją od podstaw — radykalnie i skutecznie. Wystąpienie Dekkera poruszyło wprawdzie postępową opinię wielu krajów Europy, lecz — jeśli chodziło o skutki — pozostało głosem wołającego na puszczy, głosem jednego sprawiedliwego w imperialistycznej dżungli chciwości, bestialstwa i wszelkich zbrodni, dokonywanych na „kolorowym” człowieku.

Rodak Edwarda Dekkera, współczesny postępowy pisarz holenderski, wybitny działacz ruchu pokojowego — Theun de Vries, sięgnął do innej epoki, z jaką za świadomością polityczną niż autor „Havelaara”. Akcję swej powieści o „Purpurowym płaszczu wolności” umiejscowił na Wyspach Antylskich, będących po dziś dzień terenem kolonizacji francuskiej. Epoka, o której pisze de Vries — to pamiętny okres rewolucji antyfeudalnej, rozpoczętej we Francji w r. 1789, — zaś bieg akcji powieściowej wiąże się historycznie z wydarzeniami rewolucyjnymi w metro-

polii i jest przez nie ściśle uwarunkowany. To, co się dzieje na Gwadelupie i innych wyspach Antylów, jest częstokroć odbiciem zachodzących we Francji przemian i przełomów. Zgodnie z zasadami wolności i równości wszystkich obywateli wobec prawa, proklamowanymi przez Rewolucję Francuską w Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, w dekretach Konwencji z r. 1792 i 1794, zniesiono niewolnictwo Murzynów na plantacjach antylskich i nadano byłemu niewolnikowi prawa obywatelskie. Wolnościowe reformy rządu rewolucyjnego znalazły olbrzymie uznanie. Ludność murzyńska opuściła plantacje, chwyciła za broń i walczyła z białymi żołnierzami Republiki i interwentem brytyjskim. Jednak — znaną koleją rzeczy — załatawizy się z feudalizmem, zwycięska burżuazja Francji odrzuciła hasła rewolucyjne i zdradziła swych plebejskich sprzymierzeńców. Po zagarnięciu władzy przez Napoleona, w r. 1802 przywrócono znowu niewolnictwo na Gwadelupie i sąsiednich wyspach, a władza przeszła w ręce powracających z wygnania obszarników, plantatorów, kupców i sprzymierzonych z nimi niedobitków arystokracji.

Powieść de Vriesa mówi przede wszystkim o narodzinach wolności na Gwadelupie, o zwycięskich walkach wojsk Republiki i powstańców murzyńskich z rojalistami i A. glikami. Bohaterem głównym powieści uczynił jednak autor nie bojownika wolności, który z bronią w ręku łamie aż do końca ucisk i tyranie „białych panów”, lecz młodego Murzyna — Dawida, artystę-malarza, który dzięki swym zdolnościom pozyskał pewne „względny” plantatora i „awansował” na kamerdynera. Ta szczegółna narracja osobista Dawida, traktowanego znacznie lepiej niż jego czarni bracia, izoluje go od społeczności murzyńskiej, a co za tym idzie — przyćmiewa jego samowiedzę narodową i społeczną. Wyglądanie wojsk rewolucyjnych na wyspie, udział Dawida w walkach z okupantami angielskimi, znajomość i zbliżenie się do komisarza Republiki Wiktora Huguesa, realizującym politykę Rewolucji — to wszystko przyspiesza proces umysłowego i duchowego dojrzewania Dawida. Nie jest on wprawdzie urodzonym żołnierzem, będzie jednak służył Republice i swemu narodowi orężem pięknej sztuki malarzkiej, wznosząc się w tej dziedzinie aż do wyżyn mistrzostwa. Oto w krótkim zarysie fabularny wątek powieści de Vriesa, zakończonej wyjazdem Dawida do stolicy rewolucyjnej Francji. Udaje się tam nie tylko jako przyszły uczeń Akademii, lecz również jako zaufany kurier komisarza Huguesa, wiozący ważne listy i dokumenty.

W stosunku do opisywanych w powieści de Vriesa wydarzeń i jej tła historycznego, Dawid nie jest jednak bohaterem w pełni reprezentatywnym. Fakt ów zaciemnia w pewnym stopniu ideowe perspektywy powieści, z czego autor stara się jednak rozgrzeszyć, wprowadzając — obok Dawida — Murzyna Masson, prawdziwego przywódcę swego ludu, wyraziłcia jego wolnościowych dążeń. Masson ginie przy szturmie fortyfikacji angielskich, lecz spadkobiercami jego bojowego, nieugiętego ducha pozostają inni powstańcy murzyńscy, jak Scipio czy Bonny, którzy poprowadzą dalej dzieło wyzwolenia.

Staranny rysunek charakterów ludz. ch (Murzyni, plantatorzy, oficerowie i komisarze republikańscy), wyraziście „jęty i odtworzony egzotywny koloryt lokalny oraz uderzająca plastyka fragmentów opisowych — oto szereg wybitnych zalet artystycznych powieści de Vriesa, które równoważą i wspominają wyżej — niezupełnie trafny — z punktu widzenia całości obrazu — „bór bohatera i pewien nadmiar afrykańskiej mistyki obrzędowej, której mgłą okrywa autor niektóre partie powieści.

Lecz najważniejszy jest wcielonny w obrazy artystyczne sens ideowo-polityczny, który daje się wyraźnie wyczytać z kart powieści de Vriesa — wolność jest niepodzielna, a ujarzmione narody kolonialne mogą liczyć na wyzwolenie tylko w tym wypadku, jeśli w krajach, które wydały imperialistycznych „zdobywców” i gniebieli, o balony zostanie ostatecznie i bezwzględnie ustrój krzywdy, niesprawiedliwości, przemocy i wyzysku człowieka przez człowieka. Powieść de Vriesa, chociaż sięga w dość odległą przeszłość historyczną, jest żywym i niepowodzeniem dokumentem literackim świętej walki przeciwko drapieżnemu i zbrojeckiemu kolonializmowi — walki, która poprzez etapy poszczególnych, już osiągniętych i widomych sukcesów, skończyć się musi — w naturalnym biegu wydarzeń — całkowitym i niedwołalnym zwycięstwem wolności.

Bolesław Dudziński

pożaru stokroć potężniejszego niż plamienna ulewa bomb napalmowych. W ogniu stoją kontynenty i wyspy, ludy trzymane od wieków w nędzy i ciemności sięgają po niszp i tęłość i wolność. Ich napór różną przybiera postać, lecz jedną ma cechę powszechną: rwie „imperialne łańcuchy i filary imperiów zmienia w dotkliwy balast. Tego r. cesu nie nie zdoła powstrzymać, zbudzonej świadomości niepodobna uśpić.

Zamachy stanu w Egipcie, wrzenie w Iranie, terror w Północnej Afryce, Madagaskar zatopiony w powozi krwi, groźne odgłosy idące z wnętrza Czarnego Ładu, tona walczących Filipin, „brudna wojna” w Vietnamie i malajska „blokada życia” — to porury tej samej burzy szarpającej imperializmem. A cena ucisku rośnie z każdym podmuchem, aż stanie się — mówiąc słowami angielskiego ministra — „nie do zniesienia”. Narody przestaną już płacić.

Andrzej Skiba

* Theun de Vries, „Purpurowy płaszczyk wolności”. Tłumaczyła z jęz. niemieckiego Teresa Jętkiewicz — Warszawa, „Czytelnik” 1951 — str. 242.

Tadeusz Muraś

A W L I T E R A T U R Z E ... ?

Na rolę nauczyciela w środowisku wiejskim zwróciłem po raz pierwszy uwagę w 1947 roku w czasie mojej pracy instruktorskiej w wojewódzkim związku młodzieży wiejskiej „WICI” w Łodzi. W jednej ze wsi powiatu radomszczańskiego chłopcy oczekiwali jeszcze w tym czasie powrotu ich nauczyciela, który w r. 1938 został aresztowany przez władze sanacyjne za rewolucyjną działalność we wsi, organizowanie strajków i manifestacji. Wsi miała skądś informację, że nauczyciel ich podczas działań wojennych 1939 r. z wieśniactwa się wycofał. Nikt nie znał późniejszych jego losów. Mógł zginąć w kampanii wrześniowej, lub paść w walkach partyzanckich. A może ciało jego spłonęło w krematorium któregoś z obozów koncentracyjnych? Nikt tego nie wie do dziś dnia. Po prostu nikt nie oczekiwał, nie wrócił i zapewne chłopcy też wsi nie ludzą się już nadzieją, że wróci kiedykolwiek. Zginął, jak miliony innych ludzi, którym prawa do życia odmówiła „kultura zachodnia”.

Spośród wielu najbliższych, jakich wsi wieści straciła podczas okupacji, śmierć nauczyciela była stratą najdotkliwszą. W najtrudniejszych chwilach potrafił on natchnąć ludzi wiarą we własne siły i ukazywał kształt lepszej przyszłości, o którą należało, mimo trudności, bić się z uporem i odwagą.

Opowiadali mi ci ludzie, jak bardzo brakowało im takiego człowieka w tych latach, kiedy Niemcy wywłaszczali ich i na chłopskich gruntach założyli folwark, a zabudowania indywidualne w dużej części rozebrali. W r. 1947 mieli oni za sobą dziewięć ciężkich lat, w czasie których wspomnienie nauczyciela — rewolucjonisty było źródłem nadziei i wytrwania.

Któż nie pragnąłby zasłużyć sobie na taką pamięć?

Ten nauczyciel urosł już do roli bohatera, o którym we wsi opowiadano z czcią, wspominając przedwojenne strajki, manifestacje i różne, jak mówiono, „ruchawki”. O nim rosła legenda, która z każdym rokiem potęgowała, lecz zawsze służyła ludziom jako argument przeciwko tchórzostwu, reakcji i zafobaniu.

Później miałem okazję spotkać się z wieloma nauczycielami osobi-

ście. Niektórzy nie walczyli tu najmniejszego wspomnienia. Tych było niewielu. Ich zawód nauczycielski był zwykłą ironią, jaką los czasem człowiekowi potrafi zgoutować. Zdecydowana większość nauczycieli, których poznałem, to ludzie, o których zapewne urosło kiedyś równie legenda, a ich pamięć będzie otaczana taką samą czcią we wsi, jaką otaczała pamięć swojego nauczyciela chłopcy radomszczańskich wiosek.

Na czym polega działalność tych ludzi i ich bohaterstwo? Przede wszystkim na tym, że swej pracy wychowawczej nie ograniczali tylko do młodzieży szkolnej, lecz rozszerzali ją na młodzież pozaszkolną i starszych. Wypadało im działać wbrew ustalonym na wsi poglądom, jakimś holdowatą nieraz większość chłopów.

Nauczyciel znajduje się ustawicznie pod ostrzałem opinii wsi, z którą musi się liczyć. Trzeba było niemałej odwagi, by wystąpić przeciw chłopu w sprawach tak doniosłych dla niego, jak np. los jego indywidualnego gospodarstwa. A każda sprawa na wsi wokół tego gospodarstwa się obraca. Nawet działalność biblioteki i zespołów świetlicowych w konsekwencji sprowadza się do tego, czy zainteresowania chłopów mają się ograniczyć tylko do spraw związanych z jego gospodarstwem, czy też mają poza nie wykroczyć. Sama odważa też tu niejednokrotnie nie wystarczała. Nauczyciel musiał posiadać niemały autorytet i ogromną znajomość miejscowych ludzi i spraw.

Zawsze była to działalność o niesłychanej „oniósłości” dla późniejszego życia wsi. Róży kolektyw, w którym dojrzewała moralna i światopoglądowa jedność jego członków. Kolektyw taki brał zwykle w swoje ręce realizację wielu spraw, które stawały przed wsią. Czy ten kolektyw nie rozsadził w pewnym momencie starego, skostniałego życia na wsi? Rzeczywiście wykazała, że tak działało się wielokrotnie. Kolektyw taki kształtował opinię wsi, ba! on tę opinię stanowił — atakował i kompromitował wszelkie zafobanie, przesady i głupotę.

Zasługa tego, kto ten kolektyw montował, kto był jego moralnym opiekunem i organizatorem, jest ogromna. Był nim prawie zawsze

nauczyciel. Brał śmiało w swoje ręce, bądź to prowadzenie zespołów czytelniczych, które były takimi samymi kolektywami, jak gdzie indziej kolektywy młodzieżowe, bądź też włączał się w aktualne akcje polityczne lub gospodarcze, wykazując wiele zainteresowania tymi sprawami, co nigdy nie pozostawało bez wpływu na środowisko.

Świadomą i twardą działalność, jaką widziałem u nauczycieli na wsiach, rozwijają w czasach przemian tylko ludzie wielcy, których pamięć czczą późniejsze pokolenia, o których powstaje pieśń i legenda. Ci ludzie powinni dostać się na karty najlepszych naszych powieści o wsi.

A dziwne jest to w naszej literaturze, że pisarze nie widzą roli nauczyciela na wsi. Nie widzieć nauczyciela w środowisku wiejskim, to tyle, co nie znać nie tylko nauczyciela, który akurat pisarza, być może, nie interesuje, ale i samej wsi, która tego nauczyciela posiada, niejednokrotnie jako jedynego jej agitatora i organizatora.

Występującego u Antoniego Olchy („Most nad uwriskiem”) nauczyciela, który pełni w powieści funkcję sekretarza podstawowej organizacji partyjnej, nie możemy brać pod uwagę. O tym, że bohater jest nauczycielem, autor poinformował nas w podobny sposób, jak informuje się czytelnika, jakie imię nosi bohater. Nie ma ani jednego zdania na temat, jak nauczyciel prowadzi szkołę i jak łączy swą pracę pedagogiczną z pracą społeczną w środowisku. Nauczyciel powieści Olchy jest takim samym sekretarzem partii, jak sekretarz większości powieści o wsi współczesnej, którzy nie mają żadnych innych zainteresowań ani obowiązków prócz działalności politycznej we wsi. Jego tytuł zawodu może być w zupełności pominięty w utworze.

Nauczyciel w „Wspólnej dolinie” Pietka, też nie może być brany pod uwagę, ponieważ zerwał ze swoim zawodem i przyłączył się do grupy dywersyjnej, zorganizowanej przez kulactwo. Ta postać „Wspólnej doliny” spotkała się z głęboką krytyką ze strony nauczycieli, związanych ze spółdzielniemi produkcyjnymi, którzy domagali się w swej dyskusji, aby nauczyciela potraktować w literaturze należycie i

poważnie*). Więcej nauczycieli w literaturze o wsi współczesnej nie ma.

O czym świadczy ten brak? Wydaje mi się, że świadczy on o niezrozumieniu tego, że nauczyciel jest naprawdę pozytywnym bohaterem na wsi.

Weźmy choćby taką sprawę, jak dopracowywanie się nowych form działalności. Samo to jest już wódem wielu głębokich przeżyć i doświadczeń. Nauczyciel przegrą w jednej formie agitacji, zabierze się do pracy innej. Sam teren pracy pedagogicznej w szkole jest nieraz wódem rewizji własnej postawy wobec spraw środowiska.

Drugim momentem niesłychanie ważnym w rozwoju ideologicznym nauczyciela jest to, że bojując naturą będąc przed wojną działaczem chłopskim, po wojnie został ogromnie wyprzedzony przez życie. Nauczyciel najczęściej był związany z ruchem ludowym lub spółdzielczością. Idee, które przewodziły ruchowi ludowemu, ZMW „WICI” lub spółdzielczości ustąpiły miejsca jedynie słusznej i niesłychanie sprzeciwianej ideologii klasy robotniczej. Kierowniczą rolę w życiu wzięła w swoje ręce klasa robotnicza dokonując w szybkim tempie wielu reform, stawiając przed faktem dokonanych naszych ludowców, środowisków i wiciarzy w terenie. Ich ideologia, pełna burżuazyjnych obłąkań i kompromisów, w pewnym momencie stała się zupełnie bezużyteczna. Wiejski działacz został ogromnie zdystansowany i pozostał w tyle. Kiedyś kierował, dziś musi podążać za innymi, wytrwale uczyć się nowych, nieznanych mu kiedyś spraw.

I tu widzimy rozwój i to rozwój pełen trudności, konfliktów — właśnie taki, jaki został pominięty u pozytywnych bohaterów naszej literatury o wsi współczesnej. Taką postać może wnieść do utworu wielą prawdą o wsi i naszym, niezmiennie ciekawym, życiu współczesnym. O niej chcielibyśmy czytać, ją nagrodzić pamięcią i uznaniem, o niej musimy dowiedzieć się na następne pokolenia, którym te postaci będą służyły za wzór ofiarności i poświęcenia wielkiej sprawie.

Tadeusz Muraś

*) „Nauczyciela ze spółdzielni produkcyjnej” Wiersz Nr 8, 1952.

Kronika radziecka

LITERATURA RADZIECKIEJ SZKOŁY

Gdy mowa o pracy wychowawczej wśród młodzieży, wyobraźni naszej narzucają się nieodparcie wspomnienia chłopcy i dziewczęta z „Poematu pedagogicznego”. Pod wpływem tej książki zastąpiłam do ZMP — powieści mi niedawno jedna z gorliwych wielbicieli powieści Makarenki.

Zastąpiłam radzieckiego wychowawcę i pisarza-artystę, prawdziwego „inżyniera ludzkich dusz” — ołbrzymie. Prace jego — własne „Poematy”, „Chorągwie na wieżach”, „Książka dla rodziców” — to pomniki radzieckiej epoki na progu jej zwycięskiego kształtowania się.

Kiedy autor „Poematu pedagogicznego” rozpoczął pracę wychowawczą w młodzieżowych zespołach na koloniach, pedagogika radziecka stawała pierwsze kroki. Ważnym czynnikiem wychowania w duchu komunizmu były pionierskie poczynania Makarenki. Ale dzieła Makarenki to nie naukowe traktaty, lecz utwory artystyczne, sama zaś działalność znakomitego wychowawcy opierała się nie tyle na przemyślanym i jednolitym systemie pedagogicznym, ile na sile, na przykładzie niepowtarzalnej, bogatej indywidualności. Upięknio wiele lat. Takiej młodzieży, jaką opisywał autor „Poematu pedagogicznego”, już nie ma. U progu obecnej epoki czuły, młujący wychowawca nadawał pierwszy kształt radzieckiego człowieka gromadom „beprzornym”, dzieciom bezdomnym, ofiarom wojny domowej. Teraz do szkoły radzieckiej weszły dzieci, wyrosłe w okresie zwycięskiego socjalizmu.

Dlatego trzeba pamiętać, że wiele wychowawczych metod, opisanych w artystycznych dziełach Makarenki, dziś nie może znaleźć w radzieckim systemie wychowawczym. Radzieckie dzieci są teraz inne i wymagają innego podejścia, innej „taktyki wychowawczej”.

Braki w systemie pedagogicznym Makarenki nie powinny przestraszyć nam olbrzymich wartości „Poematu pedagogicznego”. Słuszny i aktualny jest punkt wyjścia: wychowanie jednostki w ramach kolektywu, przez kolektyw i dla kolektywu. „Największy sens pracy pedagoga — pisze Makarenko — polega na tym, żeby wyselekcjonować i wychować ludzkie dążności, a dalej, żeby te dążności wzmocnić na takie moralne wyżyny, które są możliwe tylko w społeczeństwie bezklasowym i które będą budziły w człowieku energię do walki o dalsze doskonalenie”. Wychowanie człowieka socjalistycznego — oto cel Makarenki. Dlatego to autor „Poematu pedagogicznego” żąda, aby sam personel wychowawczy stanowił kolektyw, aby przed młodzieżą stawiał wielkie optymistyczne cele — „radość jutra”. Również słuszne są i nieprzemijające wskazania Makarenki, dotyczące znaczenia tradycji komunistycznej w wychowaniu, kary moralnej w obliczu całego kolektywu i dodatniej roli rodziny.

Wielki wychowawca i artysta Antoni Makarenko śmiało i odkręcał wniósł nowe wartości komunistyczne do szkoły i życia — do literatury.

Idąc już utworzoną drogą, mając przed oczami szlachetny cel wychowania komunistycznego literatury radziecka stworzyła w ciągu trzydziestu lat wiele pięknych książek o szkole i młodzieży, data liczne cenne typy radzieckich chłopów i dziewcząt. Zadanie wychowania młodzieży podjęto we wszystkich gałunkach literackich: w powieści, opowiadaniu, poemacie, poezji, satyrze, dramacie, komedii. Wykaz bibliograficzny zawiera głównie nazwiska autorów i znane tytuły dzieł: opowiadania A. Gajdara, Mikołaja Ostrowskiego — „Jak hartowała się stal”, A. Fadiejewa — „Młoda Gwardia”, Katajewa — „Za Władzę Rad”, W. Kawierina — „Dwaj kapitanowie” utwory M. Priszwina, S. Grigoriewa, W. Briankina, B. Zytkowa, S. Kassila, B. Osejewej, M. Prileżajewej, A. Musatowa, N. Nosowa, L. Woronkovej, W. Bielajewa, M. Iljina, N. Michajłowa, W. Safonowa; poezje S. Michajłowa, S. Marszaka, A. Barto, K. Czulkowskiego; sztuki sceniczne S. Marszaka, S. Michajłowa, M. Swietłowa i innych.

KOMUNIKAT

W związku z tym, że wpłynęło wiele listów z prośbą o przesunięcie terminu nadsyłania prac na konkurs ogłoszony przez Ministerstwo Oświaty i Wychowania Naczelniczego przy współudziale Instytutu Wydawniczego „Nasza

Jakie jest główne znaczenie radzieckiej literatury młodzieżowej?

Radziecka literatura szkolno-młodzieżowa ukazała ścisły związek — nierozdzielalną jedność — „ojców i dzieci” w walce o komunizm. Pisarze radzieccy stworzyli niezapomniane obrazy młodzieżowych bohaterów-patriotów, uczniów szkoły radzieckiej (jak np. w „Młodej Gwardii”). Jak niegdyś Pawła Korczagin, w kilkanaście lat później Oleg Koszow z ówczesnymi podjęmymi walkę o ojczyznę, o komunizm. Ofiarnie, odwrotnie staje w męskiej sprawie dorosłych: walczy.

Pokolenie młodzieży wychowane zostało na nieśmierlnych wzorach Korczagina, bohaterów „Młodej Gwardii”, Borysa Gorikowa z powieści „Szkoła” A. Gajdara, Pawła Morozowa z poematu Szczepanowa, bohaterów „Starej twierdzy” W. Bielajewa, Zoi i Szury Kosmodiemiankich i wiele innych. Postacie stworzone przez pisarzy (lecz nie wymyślone, a wzięte z życia) uczą patriotyzmu i internacjonalizmu, uczą być godnym wielkiej stalinowskiej enoki, przygotowują do życia i walki w Związku Radzieckim.

Szkola radziecka — szkoła nowego typu jest najbardziej produkcyjną, postępową szkołą świata. Ona daje młodzieży materialistyczny światopogląd, uczy umiejętności kolektywnego współżycia, wwaia w uczucia miłości ojczyzny i internacjonalizmu, przygotowuje w pełni do „dorostego” życia.

W ostatnim czasie pojawiło się wiele prac, których tematem jest szkoła, lekcje, okres wakacji, życia ucznia w rodzinie, zainteresowania dla wielkich budowli komunizmu i walka o pokój. Należy wymienić: „Jasne dale” A. Andriejewa, „Jurko Wasjuta” A. Dan-czenko, „Saszk” L. Smielianskiego, „Zielona wyspa” A. Waleńskij, „Gwiazdka” J. Wasilenko, „Atajaska powieść” L. Woronkovej, „Dom na górze” A. Musatowa, „Na krańcach ziemi” i „Ognie na rzec” N. Dubowa, „Źródło” J. Tajca, „Trzecia brzoza” A. Grigulisa, „Wielka Wolna” G. Kulbickiego, „Wasiak Trubaczew i jego towarzysze” W. Osejewej i in.

Trudno omówić wszystkie książki poświęcone zagadnieniu młodzieży i jej dojrzenia w radzieckiej szkole. Zarzycamy się pokrótce na ostatniej powieści nagrodzonej Nagrodą Stalinowską: Mikołaja Nosowa „Witek Malejew w szkole i w domu”.

Fabula powieści jest całkiem prosta. Dwóch chłopów Witek Malejew i Kostek Szyszkin uczą się w czwartej klasie. Na onó są to dobrzy chłopcy. Ale Witek goni za piłką nożną i nie może nadążać z lekcjami arytmetyki. Kostek lubi bawić się z psem czy kotem i zaniedbuje naukę rosyjskiego. Autor nakazuje, jak chłowny uświadamiają sobie własne błędy, jak nadrabiają spóźnienia przy pomocy kolektywu szkolnego i stają się dobrymi, pilnymi uczniami, członkami szkolnej społeczności.

„wartość książki polega na tym, że ukazuje ona oblicze radzieckich dzieci, podkreślając ich moralną czystość, umiłowanie życia i ojczyzny. Uczniowie uświadamiają sobie co to jest uczą, zaczynają rozumieć, że celem nauki jest przygotowanie młodzieży do pełnego twórczego udziału w życiu Związku Radzieckiego, „Marzysz — mówi Witek Malejew — o czymś cudownym i chcesz przedź w dorosłość, żeby być bardzo silnym i śmiałym, dokonując różnych wielkich czynów i stać się bohaterem. Oto jakie nam marzenia. Myślę, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Oficem mówi, że w naszym kraju każdy człowiek osiągnie wszystko, czego zapagnie — jeżeli tylko będzie się uczył. Bo wiele lat wstecz, a-kurat w dzień 7 listopada, przepe-dziłymi kapitalistami, którzy uci-skali naród i teraz wszystko nale-ży do narodu. Oznacza to, że i do-mnie, bo ja też jestem narodem”.

Tak z chłopca wyrasta przysły aktynny człowiek radzieckiej społeczności.

Radziecka młodzieżowa - szkolna literatura posiada drogocenny ładunek ideowy, który pozwala nam wychować nowego człowieka.

Grzegorz Timofiejew

Być działaczem — nauczycielem

(Dokończenie ze str. 6)

wa się przełom zasadniczy — powstaje spółdzielnia produkcyjna.

Stare pokolenie coraz więcej jaśniej rozumie doniosłość oświaty szkolnej i pozaszkolnej dla młodzieży, dla jej przyszłego na wsi życia.

Wszystkie zatem są po temu warunki, aby chłopów-rodziców skupić wokół szkoły w Komitecie Rodzicielskim. Wszystkie też są po temu warunki, aby nauczyciel w tym środowisku osiągnął autorytet, o jakimś dotąd w dziełach nauczycielstwa nie mógł marzyć.

„Nauczyciel ludowy — pisał Lenin — powinien stanąć u nas na takiej wyżynie, na jakiej nigdy nie stał, nie stoi i stać nie może w społeczeństwie burżuazyjnym”.

Na tę wyżynę nie wzniosła go rola „latającego Holendra” po gminie. Wyniesie go to, co zdziałają w Komitecie Rodzicielskim i w Księżu Wielkim (pow. Miechów) zapewnił sam Komitet.

DO WZMOŻENIA

PATRIOTYZMU GROMADY

Sięgniemy po przykłady. Komitet Rodzicielski w Księżu Wielkim (pow. Miechów) zapewnił

dzieciom należyte warunki odrobienia lekcji. Uchylają wieczorne plotki kobiet, spod kuchennego pieca przesyli dzieci na duży stół, pod jasną żarówkę. Dla najbardziej potrzebujących Komitet zorganizował dożywianie, szkołę zradiofonizował, zakupił różne pomoce naukowe, w rezultacie oceny niedostateczne spadły w bieżącym roku o 40 proc.

W Rokicnach (Łódzkie) pod wpływem nauczyciela Sowity budują chłopcy gromadzkim nakładem nową szkołę i Ośrodek Zdrowia.

W Knorydach (gm. Mielnik) Komitet zakupił duży dom i zobowiązał się na własny koszt przebudować go na szkołę i świetlicę.

W Wilczewie (pow. Ryplin) Komitet przebudowuje mleczarnię na szkołę i równocześnie z pomocą GRN-u stawia nowoczesny zakład mleczarski.

We wsi Wiewiórczyzna (pow. Giżycko) Komitet Rodzicielski zakon-traktował na odłogach uprawę lnu, aby wyposażyć szkołę i gromadę w radio, pomoce naukowe, sprzęt sportowy i teatralny.

Na cóż wskazują te przykłady?

Na czynny współudział wsi w rewolucji kulturalnej. Chłopi witają z radością budowę każdej nowej szkoły, ale gotowi są również sami budować szkoły. Na tej drodze chłop wnosi świadomości ponad plan inwestycje w nową Polskę. Na tej drodze, oczywiście, najłatwiej zdobyć się na przełanie rezerw pieniężnych, jakie daje mu podnoszona produkcja rolna, rentowna hodowla i uprawy przemysłowych roślin.

Działalność w interesie dzieci i ich przyszłości. Taki był początek w ruchu Komitetów Rodzicielskich.

Uczenie dla dzieci i wiara w ich szczyśliwą przyszłość wywołuje pierwszą zbiorową inwestycję... na szkołę.

Ale w zorganizowanym w Komitecie Rodzicielskim środowisku raz wy-tworzone ujęcie dla patriotycznej inicjatywy — może rozszerzyć jej zakres. Najpierw inwestowanie w rozwój kultury na wsi — szkoła, świetlica, radio, sprzęt sportowy, teatr. lny. Potem jeszcze szerzej: ośrodek zdrowia, mleczarnia itd.

Rozwijają się i metody. Od osobistej skłódky do akcji zespolowej, która wydobędzie nowe rezerwy inwestycyjne z pracy i produkcji dodatkowej.

Ten udział w inwestowaniu nowego ustroju ma wagę materialną ale jeszcze większą polityczną. Daje on bowiem zawsze więcej, niż dał, skoro daje z kolei głębsze zrozumienie obowiązków wobec państwa, daje większą gotowość w ich wypełnieniu. Wywołuje współzawodniczość gromad. Podjęcie zobowiązań z honorem i dumna radość ze zwycięstwa, z wcześniejszego terminu, z ponad planu.

WZMAGAJ REWOLUCJĘ KULTURALNĄ

Ale w tym procesie rozwijania świadomego współdziałania wsi w rewolucji gospodarczej i kulturalnej rola wychowawcza nauczyciela powinna być nie mniejsza niż jego rola w szkole. I może być! Wskazują na to przykłady.

Rodzice ze wsi Rybno (Krakowskie) przybywają na lekcje do szkoły, przysłuchują się wypowiedziom młodzieży. Stąd krok do „seminarium” rodzicielskiego, na którym przeszli popularny kurs nauki o Polsce Współczesnej. W rezultacie organizuje Komitet wy-cieczki szkolne — dzieci i starszych na wielkie budowy przemysłowe.

W Pilźnie (gm. Rędziny) chcieli chłopcy dobrze zorganizować kontraktację. Odwołali się przez Komitet Rodzicielski do szkoły o pomoc w „teorii praktycznej”. Wykładał więc im biolog technikę używania nawozów, wyjaśnił proces wegetacji wysokorentownych roślin przemysłowych, pouczył o sposobach ich pielęgnacji.

To zbliżanie się rodziców poprzez dzieci do szkoły otwiera przed nauczycielem nowe pole działalności wychowawczo-oświatowej. Kursy dla analfabetów pokazywały, jak wielką radość przeżywali starzy chłopcy zdobywając sztukę czytania i pisanja. Ale pokazywały również, jak wielkie były opory.

Wstyd i śmiech ujęły się starym. Analfabetyzm zniżył dzięki nauczycielowi ale dopiero po ciężkiej walce między wstydem a pragnieniem uczenia się, bo taką walkę stoczyli z sobą zwycięsko starzy chłopcy.

I starzy chłopcy i średnie pokolenie pragnie uczyć się dalej i więcej ale to nie może być szkolna nauka.

Członkowie Komitetu Rodzicielskiego tkwią w praktyce życia, które na każdej gromadzie w innej sprawie i innym zakresie nabiera aktualnego znaczenia. Trzeba, aby nauczyciel potrafił chwycić za to główne ogniwo łańcucha spraw, aby tu rozszerzał horyzont myśli, tu otwierał perspektywy.

I żeby w tej pracy nie szedł tylko w pojedynkę. Na zebranie Komitetu Rodzicielskiego, tak jak do szkoły, też winien sięgać działacz z GRN-u GS-u, POM-u itd., jeśli wśród członków Komitetu nurtują potrzeby z tamtych zakresów.

Ale przede wszystkim winien łączyć się we wspólnym frontie rewo-lucji kulturalnej z działaczami bliskimi mu w tym dziele: ze świetlicowcem, bibliotekarzem, kierownikiem kina, przedszkola, radio-węzła, korespondenta itd.

Ten wspólny front trzeba dziś żwawo budować. A budować, to nie znaczy tylko szanować pracę działaczy z różnych dziedzin kultury. Znaczy to — planować ją wspólnie z obliczaniem łącznego skutku, z wyznaczaniem sobie zadania do zrealizowania przy pomocy wszystkich działaczy, kiedy będą wiedzieli, jakie zajmują miejsce w planie.

Bo choć oczywiście jest, że bez rewolucji gospodarczej nie byłoby, nie mogłoby być — rewolucji kulturalnej, „ale też nie zrealizujemy rewolucji gospodarczej bez rewolucji kulturalnej”.

W roku przełomowym dla realizacji Planu 6-letniego — w r. 1952 — nauczyciel na wsi winien zrozumieć, że i dla niego nadszedł moment przełomu.

Ze od niego oczekujemy skoncentrowania wysiłków w zakresie pracy działacza oświatowego, że od niego oczekujemy ofensywy na fcie rewolucji kulturalnej na wsi.

Wiesław Jażdżyński

DR BAŁASZ NIE JEST SAMOTNY

(Dokończenie ze str. 5)

ziemi, 2 kilometry nowego koryta rzeczne, zbudowano tam na rzeczce i 4 mostki, a u ujścia basenu wielki filtr. Odwodniono 50 ha bagnistej łąki, zbudowano nawierzchnię nowej ulicy — Sportowej.

Przed otwarciem basenu opozycja jeszcze raz dała znać o sobie.

— W jesieni udało mi się napuścić wody, bo spadły wreszcie deszcze. Zobaczymy, jak teraz będzie!

Choć zapadła noc, niecierpliwie wędrowali wzduł nowego koryta rzeki, patrzeć jak przybywa wody. O północy nad łąkami podniosła się wierzawa. To krzyczeli młodzi z radości, bo przez filtr przedarła się pierwsza fala czystej jak kryształ wody i brzyznęła o cementowe dno. Na dwadzieścia godzin przed uroczystością członkowie lustra sięgali już brzo-gów.

Młody lekarz przyznaje szczerze, że nie słyszał w życiu miłszej muzyki od plusku spływającej do basenu wody. O uroczystościach wspomina mimochodem. Było na otwarciu kilka tysięcy ludzi, zespoły sportowe z Lublina, przedstawiciele z Warszawy. Złota odznaka LZS i honorowe uczestnictwo w zlocie młodzieży osłodziło mu kielich gorzkości. Najwięcej jednak cieszy go, że w czasie wakacji młodzież korzysta z wody cały dzień. Wieczorem przychodzą kapak się chłopcy i dziewczęta ze wsi albo przyjeżdżają robotnicy z budowy w

Rejowcu a nawet z Chelma, bo w okolicy trudno znaleźć większą rzekę albo staw.

Rozstaliśmy się na wzroście za izbą porodową. Pokazywał nam przed pożegnaniem las, który zasadził razem ze swoimi pracownikami tej wiosny. Na jałowym gruncie 40 tysięcy sadzonek sosny wczepiło się korzeniami w piasek i każdego roku strzelać będą o 40 centymetrów wyżej. Po czterech latach przerastać będą człowieka — zmienią się malaryczny klimat w Siedliszczu.

*

Rozdarta sosna i młody las w Siedliszczu — doktor Judym i ten, pełen wiary w siły własne i społeczne, lekarz z osady.

Dwie historie z życia dwóch ludzi z dwóch różnych epok.

Papierowy bohater — zawyrokuje może niejedną z was po przeczytaniu tej historii. — Judym kochał, cierpiał, a doktor z Siedliszcza... Gdzież jego życie osobiste?

Społecznie. On znalazł też swoją Joasie, ale z niej nie zrezygnował. Pokazali mi ją na ulicy w Siedliszczu. Młoda, ładna dziewczyna. Schylała się nad białą wylakierowanym wózkiem (towar z ostatniego transportu do GS-u) i coś w nim poprawiała. Zdażyłabym dostrzec tylko dwie malutkie piąsteczki nad brzegiem tego wózka.

Krystyna Palys

JAK
BĘDIEMY WYBIERAĆ
DO SEJMU?

ORDYNACJA WYBORCZA
DO SEJMU
Polskiej Rzeczypospolitej
Ludowej

str.104zł 1.30

«Książka i Wiedza»

Księgarnia, zawiadamia się, że termin składania prac konkursowych został przedłużony do dnia 1 listopada 1952 r.

Warunki konkursu:

1. Utwór konkursowy na TEMAT ZYCIA SZKOŁY może dotyczyć okresu międzywojennego, okupacji i okresu po wyzwoleniu.
2. Utwór konkursowy winien być napisany prozą (POWIEŚĆ, PAMIECIENIK, ZBIÓR NOWEL, OPOWIADANIE itp.).
3. Utwór konkursowy winien zawierać najmniej ok. 100 stron maszynopisu z marginesem i interlinią.
4. Tematyka utworu może dotyczyć szkolnictwa wszelkiego rodzaju (ogólnokształcące, zawodowe, różnorodne kursy itp.).
5. Termin nadsyłania prac: do 1 listopada 1952 r. Adres: Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, Warszawa, ul. Spasowskiego 4.
6. Utwór konkursowy winien być dotychczas niedo publikowany.
7. Prace nadsyłane należy opatrzyć go-dłem, nazwiskiem i imieniem i adres zamieszkania w zakreślonej kopercie, opatrzonej tym samym go-dłem co egzemplarz.
8. Nagrody przewiduje się: pierwsza — 6.000 zł, dwie drugie po 3.000 zł, trzy trzecie po 2.000 zł.
9. Utwór konkursowy winien być napisany na maszynie, w wyjątkowych okolicznościach mogą być nadesłane jako bardzo czytelny, a staranny rękopis. Požadane są egzemplarz trzy. W razie trudności wystarcza jeden.

Komitet Organizacyjny Konkursu

Gazetka gminna

Kulak nie pomógł

W naszej gromadzie Słocin (gm. Grodzisk) pow. Nowy Tomys, mieszka 4 kulaków. Mają oni tegie gospodarstwo 15-20 ha, ale ziemię obrabiają głównie przy pomocy własnych rodzin, bo u nas dziś już ze świecą parobków szukać. Aktywni gromadzi u nas silni, tak że kulacy na ogół siedzą, jak myszy pod miotłą. Ale to nie znaczy, żeby od czasu do czasu nie puszczali w ruch jakiejś plotki. Trzeba powiedzieć, że ubiegłego roku odciągnęli sporo ludzi od odstawy tuczników. Mają w Nowym Tomysie znajomych rzeźników, ten i ów polecał na wysoką cenę żywca, nie rozumiejąc, że może jego syn lub córka będą musiały obcy się bez mięsa.

Jesienią ub. roku przytrafiło się tak: niejaki Ponięcki Edmund prowadził gospodarstwo swojej bratani. Było tego 37 ha, ale — jak się już rzekło — nie mógł dać rady, bo mu świadomość polityczna gromady przeszkadzała. Złote góry obiecywał, a jednak nikt do roboty mu nie

przyszli. Wtedy rad nierad odstąpił gromadzie, za zgodą władz, 25 ha na zagospodarowanie. Na tośmy właśnie czekali! Te 25 ha zapoczątkowało nasz zespół uprawy. Zebraliśmy w tym roku dorodne zboże, o jakim się kulakowi nie śniło. W ten sposób nie zmarnował się w gromadzie ani jeden ha cennej ziemi. Przeszliśmy nawet na rośliny przemysłowe.

Niektórzy chłopcy mówią już o spółdzielni produkcyjnej. Jest to przezwieżanie biedoty, której to niedawna ani w głowie była taka myśl. A wzięła się stąd, że mamy już we wspólnej gospodarce — 25 ha dobrze obróbowanej ziemi. Wynikałoby, że w pewnych okolicznościach i kulak przyspiesza nasz marsz do socjalizmu. Ponięcki gotów był się nawet tym pochwalić. Nie wierząc mu, to gromada walczyła o zagospodarowanie każdego kawałka ziemi, bijąc się o wyższą wydajność sama, bez kulaków idzie ku socjalistycznej gospodarce.

Jan Szczyński

Spekulant w fufajce

Z naszego PGR-u w Szytowie (koszaliński) nikt się dotąd na korespondenta prasowego nie wyrobił. A to wcale nie znaczy, żeby nie było się czym pochwalić, albo skrytykować. Żniwa poszły nam sprawnie, ludzie pracowali się porządnie, nieźle sprawiła się ekipa akademików i o tym urzuliśmy napisać. Ale Starostecki, który wozu nasze mleko do miasteczka powiada — co będziecie pisać, bykłom narobić, zaraz się dziennikarstwo pojeżdżają, będzie kłopot i tyle.

To ja do niego — a możeby co skrytykować? — Skrytykować, u nas? Ale z ciebie patriota, honoru nie masz. Co skrytykować, kiedy wszystko w porządku.

Nie podobała mi się taka odpowiedź. I co się okazało? Wacław

Starostecki wyjeżdża sobie co rano do powiatowej mleczarni, zabierając 120 litrów naszego mleka. Policzyłem kiedyś banki i wyszło mi, że zabiera na wóz 60 litrów więcej za każdym razem. Oko mam dobre, nie na darmo pracowałem przy krowach 20 lat. Wypatrzyłem go w miasteczku. Po nocce do kłębka — wykryłem dostawców. Są to znani kulacy, którzy pod firmą naszego PGR-u prowadzą spekulancji handel.

Wniosek mój jest taki: trzeba przepatrzyć w całej Polsce dostawę mleka, a nuż się kryje za socjalistycznymi gospodarkami więcej takich Starosteckich?

A co do naszego handlarza, proszę Redakcję, żeby go narysowała, jak sprzedaje mleko „na lewo”. Nadmieniam że jest chudy na twarzy, obrośnięty niedbaluch, ma na sobie fufajkę — czyli wiatownię i dwa nienajlepsze konie.

Wojciech Skorzepa

WOJCIECH DRYGAS

KONFERENCJA PRASOWA W TOPOLI

KONFERENCJA prasowa w Gminnej Radzie Narodowej była naznaczona na godzinę dziewiątą.

W pięć minut później w drzwiach szeroko otwartych wyprzedził swą okazłą postać sam Bociankowski.

— Zaczynamy panowie! Stuk ołówka o blat stołu i lekkie sykanie oznajmiło pierwszą mowę. Był to głos mego sąsiada — delegata CUSiK-u. Wymowa jego — to była najprawdziwsza woda z kranu. Mówca doznał z lekka kilku zasadniczych momentów z życia sekretarza Bociankowskiego, z czasów, gdy obaj — on, Jakubczyk i jego zwierzchnik sekretarz — rozpoczynali trudną i niewdzięczną działalność na szczeblu gminnym, nie szczędząc swych sił i udułności dla dobra chłopich mas pracujących. Poruszył potem dość ogólnie kwestię przygotowań do żniw i omlotów, w których sekretarz Bociankowski oddał ponoć znakomite usługi. Półtężył następnie nacisk na jego wybitny talent wytrawnego organizatora, wwieńcony tylu znakomitymi sukcesami. Dał wreszcie do zrozumienia, że pozorne braki (wyraz „pozorne” mówca powtórzył trzykrotnie!), napawające pewnym niepokojem obu dziennikarzy, istnieją nie z winy sekretarza Bociankowskiego, lecz z konieczności. Są one jak te żółbia stomy walające się przecież na każdym podwórku (wyraz „każdym” mówca powtórzył trzykrotnie!), na podwórku każdego, nawet najlepiej postawionego gospodarstwa. Jednym słowem nie sposób ich uniknąć. I po kilku ciepłych słowach pod adresem przemitych gości, przedstawiceli tego uśpiatego wymalunku, jakim jest opinia publiczna, mówca zakończył ku ogólnemu zadowoleniu.

— A co? — szepnął mi czule w ucho Jakubczyk.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć powstał ktoś z końca sali. Skoro tylko ruszył z miejsca wszyscy skupili uwagę, zaś sekretarz Bociankowski zasnął niespokojnie nogami, jakby odpędzał od tyłek wściekłego kundla. Chłop czerwony na twarzy, w polatanej kurtce, mówił:

IRENA MAZURKIEWICZ

JADE BRACIE!

Cóż sąsiad tak wesoły?

Co znaczą te toboły? —

Filipa Tomasz pyta.

„A, bom się zdecydował

Wyjechać z Sabinowa:

Przesiedlam się i kwita!”

„Filipie, chyba bredzisz?

Siedź dalej tu, gdzie siedzisz

Od dziada i pradziada.”

„Siedź! —

haruj dalej! — znaczy.

Siedź! —

tyraj u bogaczy!”

— Filip mu odpowiada. —

„Nie chcę już być parobkiem,

Nie pójdę na „odrobki”

Nie chcę swych piasków orać!

Już przykrzy mi się, dłużej

W biedniackiej siedzisz skórze,

Z biedą się ciągle porać.

Zabieram żonę, syna.

Wyjeżdżam do Olsztyna:

Dziesięć ha na mnie czeka.

Tam będę miał do syta:

Ziemiaków. Na chleb — żyta.

Od własnych krówek — mleka.

Państwo mi dopomoże:

Przesiedli, da mi zboże,

Pozyczkę na inwentarz.

Pole i sad dostanę.

Budynki murowane

„Kpisz chyba?”

„Czym ja kręcacz? —

Znalazł mi gospodarke,

Już z miesiąc, pod Lidzbarkiem

Brat żony, osiedlony.

Mógłbyś też sąsiad jechać —

Tam jeszcze ziemia czeka.

Na orkę, siew, na plony.

Gdy ja tam już osiade,

Gdy znajdę, list wam przysyłę.

Zostawcie chude piaski

I chleb... z kulackiej „łaski”...

„Ha... pewnie się namyśli!”

Irena Mazurkiewicz

JAN CUBER

Z POMOCĄ GROMADZIE

STRZYŻEWSKI

KIEDY w r. 1949 do wsi Bagard (pow. sztumski) zjechał nowy kierownik szkoły, Strzyżewski, sytuacja we wsi przedstawiała się nienajlepiej. Gospodarka zacofana; życie społeczne i kulturalne niemal że nie istniało, zebrania gromadzie świeciły pustkami. Panoszył się we wsi kulak,

Nowy nauczyciel — członek i aktywista partii — ruszył do trudnej walki o rozbudzenie gromady i pociągnięcie jej naprzód. Po zapoznaniu się z dziećmi i zaskarżeniu sobie ich zaufania powołał do życia drużynę harcerską. W pracy z drużyną pomogła mu młoda koleżanka, absolwentka liceum pedagogicznego w Kwidzynie, która wzięła się do zorganizowania kółka artystycznego i chóru szkolnego.

W krótkim czasie harcerze doprowadzili do stanu używalności zaniedbane boisko szkolne. Zaczęto grywać w siatkówkę, często też urządzano na boisku zabawy szkolne. Sport i zabawy przyciągnęły młodzież pozaszkolną, która w ten sposób zaczęła dojrzewać do tej części jej w ramy organizacji. I oto Strzyżewski porozumiewa się z ZMP i zakłada w Bagardzie koło ZMP-owskie.

Nie mogło to pozostać bez wpływu i na rodziców, którzy, dumni z sukcesów swych dzieci i swojej szkoły, zaczęli się z nią coraz mocniej wiązać, nie wahając się podejmować na rzecz szkoły pewnych zobowiązań materialnych. Coraz też większą rolę zaczęło spełniać koło ZMP-owskie, które w miarę podnoszenia poziomu ideologicznego uzyskiwało coraz większy autorytet wśród mieszkańców gromady. Wiele ZMP-owców zapisało się w wyniku dyskusji na różne kursy i do szkół zawodowych.

W tym czasie Strzyżewski zostaje sekretarzem miejscowej Podstawowej Organizacji Partyjnej. Mając już pozyskaną młodzież rzuca teraz swe siły do pierwszej poważnej bitwy klasowej. Późną jesienią, kiedy niektórzy spośród biedoty pozostawali mocno w tyle z wykopkami ziemniaków, przybywa im do pomocy młodzież harcerska. Reakcja kulacka uderzyła na alarm: rozpętał się gwałtowny atak na szkołę i nauczyciela, starano się wszelkimi siłami odciągnąć młodzież od pomocy biedocie. Wtedy to młodości z Bagardu stwierdzili wyraźnie, kto jest jej przyjacielem,

a kto wrogiem — dokoła Partii i szkoły zaczyna formować się coraz to szerszy aktywny oddział.

Nie bez znaczenia dla tego procesu był fakt, że Strzyżewski, będąc radnym GRN, wykorzystał wszelkie możliwości (polityka podatkowa, kredyty, maszyny), aby dopomóc biedocie.

Dostrzegając duże walory pomocy sąsiedzkiej i pracy zespołowej, zaczęli też z czasem roztrząsać podsuwany im przez członków organizacji partyjnej problem współdziałania wsi. Nie znając jednak w praktyce tego zagadnienia, zwrócili się do Strzyżewskiego — sekretarza Partii i nauczyciela — o zapoznanie ich ze statutem spółdzielni. Urządzone wtedy dwa razy w tygodniu głośne czytanie statutu. Czytali i tłumaczyli: nauczyciel oraz aktywiści partyjni i ZMP-owcy. I obo, po przeszło dwumiesięcznych żarliwych dyskusjach statut spółdzielni podpisał 32 gospodarzy.

Tak w zacofanym niegdyś Bagardzie powstała spółdzielnia produkcyjna — dzieło wspólnej walki nauczyciela i stworzonego przezeń aktywu.

ALFAWICKI

SPOŁDZIELNIA produkcyjna w Miechowie (pow. Kłobucki) jest dziś jedną z przodujących w powiecie. Spółdzielcy wybudowali piękne zabudowania gospodarskie, założyli kilkunastohektarowy sad owocowy, uzyskali znaczny wzrost plonów, wieś została elektryfikowana i radiofonizowana, założono żłobek i 2 świetlice.

Jeżeli poszukać źródeł tych sukcesów, jednym z nich będzie praca kierownika szkoły — Alfawickiego. Kiedy 2 lata temu obejmował on szkołę, zastał już we wsi dość mocną organizację partyjną. 9-ciu gospodarzy, osadników z Kieleckiego, dyskutowało na temat założenia spółdzielni, lecz walka toczyła się o średniaka, o wyrwanie go ze sfery wpływu kulackich. I do tej walki włącza się już od pierwszych dni swego pobytu nauczyciel, wspierając swym doświadczeniem Podstawową Organizację Partyjną i aktywny oddział. Odwiedza więc często rodziców po domach, bawi się z dziećmi, interesuje się kłopotami i trudnościami dnia codziennego. Zachodzi też do gospodarzy przy pracy, pogaduje na temat zwierząt gospodarskich (racjo-

nalne żywienie, leczenie) oraz trudności pracy na roli bez odpowiednich maszyn. Mechanizację rolnictwa przedstawia jako jedną z przesłanek dobrobytu wsi.

Alfawicki, podobnie jak Strzyżewski w Bagardzie, pamięta, że sama agitacja nie wiele pomoże bez organizacji, bez skupienia wokół sprawy spółdzielni zwartego aktywu. Organizuje więc LZS, wciąga młodzież do pracy w świetlicy, przygotowuje z nią pierwsze przedstawienie, które zyskuje uznanie gromady. Sport i rucn artystyczny przynoszą wkrótce ożywienie „spłającego” dotychczas koła ZMP.

To była jedna droga organizowania sił przez nauczyciela. Druga — to Koło Gospodyń Wiejskich. Alfawicki wciągnął do pracy wśród kobiet swą żonę. Przeprowadziła ona z początku kilka pogadek z życia praktycznego kobiety wiejskiej, wkrótce zaś przeszła do systematycznego prowadzenia kilku równoległych działów: kroju, szycia na maszynie, higieny dziecka i szkolenia społeczno — politycznego. Z Kołem Gospodyń wiąże się ściśle i sam nauczyciel, pomagając w przygotowaniu przez nie okolicznościowych akademii. I rzecz ciekawa, niebawem starsze kobiety, członkinie Koła, wyuczyły się na pamięć wierszy, by sprawić gromadzie niespodziankę, prosząc jednocześnie o możliwość wystąpienia na akademii.

Te dwie siły: ZMP i Koło Gospodyń — wspierają organizację partyjną na tyle silnie, że stosunkowo wcześniej założona została w Miechowie spółdzielnia produkcyjna.

Czy jednak nauczyciel uznał, że walka skończona i w ten sposób — wraz z założeniem spółdzielni — kończy się jego rola jako aktywisty w gromadzie?

Oto w święto Trzech Króli niedługo po założeniu spółdzielni, członkowie, którzy dokonywali oporządzenia bydła, popili się i nie stawili dnia następnego do pracy. I wtedy znów rusza na pomoc nauczyciel. Mobilizuje grupę chłopców ze starszych klas i z nią razem po i żywi inwentarz spółdzielczy. Sprawę rozstrzygnięto na zebraniu ogólnym. Padają pod adresem nauczyciela słowa uznania i szacunku, winni zaś podeszli do zagadnienia samokrytycznie — fakt taki więcej już w spółdzielni się nie powtórzył.

Od tego czasu Alfawicki prowadzi w spółdzielni szkolenie partyjne, wpływając w poważnym stopniu na prawidłowy rozwój spółdzielni.

Warto jednak zapytać: czy tak poważny wkład pracy społecznej nie odbił się ujemnie na zawodowej pracy nauczyciela, czy nie obniżyły się przez to wyniki nauczania? Niech odpowiedzą fakty: w szkole miechowskiej w ciągu ostatnich 2 lat nie zanotowano niemal zupełnie wypadków powtarzania roku. Jeżeli zaś idzie o absolwentów, to olbrzymia ich większość poszła do szkół średnich czy zawodowych. Kilku zapisało się na kurs traktorzystów, by po powrocie zasilić w kwalifikowane kadry swoją spółdzielnię. Jeden wstąpił do szkoły oficerskiej.

A same warunki pracy szkolnej? Trud nauczyciela opłacił się tutaj dziesięciokrotnie. Wraz z założeniem spółdzielni otworzyły się bowiem także dla szkoły przesłanki coraz szybszego rozwoju. Elektryfikacja, radiofonizacja, dwie pięknie urządzone świetlice stworzyły dzieciom dogodne warunki pracy. Szkoła jako główny ośrodek kulturalny gromady, znalazła się pod stałą, życzliwą opieką spółdzielców.

Jan Cuber

JAN CZARNY

ATLANTYCKA KOŁYSANKA

Nad kołyską sztandar w gwiazdy
Rzuca cienia snop,
A w kołysce chłopiec jasny,
Na imię mu Bob.

Spój syneczku, dziecię moje,
Jeszcze nie wiesz sam,
Snąw twych broni przed pokojem
Dobry wujek Sam.

Spój syneczku, pływ spokojny
W snów dziecięcych port,
Jeszcze nie wiesz, co to wojny
Grabież, lynch i mord.

Już czekają cię zabawki,
Chociaż jesteś smyk,
Zołgi, bomby... Ciemne sprawki
Poznasz zatem w mig.

Gdy podrobniesz, książki, filmy
Zajmą wiele chwil,
Poznasz, jeśli będziesz pilny
Atlantycki styl:

„Siedem trupów”, „Mord Murzyna”,
„Krwawy gangster Bill”.
Spluwa w pismach, spluwa w kinach,
Atlantycki styl...

Gdy zabijają w tobie czeleka,
Mundur dadzą ci;
Ze cię lepsza dola czeka
Śnij, mój synku, śnij...

Wojciech Drygas



Rys. — J. Walker

kojnie po stole. Zdjął z twarzy zadowolony uśmiech, w salce zrobiło się mroczno i ponuro.

— Kto jest ten człowiek? — rzucił w stronę Jakubczyka.

— To jeden ze sołtysów, czekają na referenta rolnego Grabowską...

— Tutaj czekają? Dlaczego nie w biurze?

Jakubczyk rozłożył ręce na kształt świecznika.

— Biuro zamknięte na klucz, bo Grabowska wyszła...

— Gdzie wyszła?

— A bo ja wiem? Pewnie do domu... — ujął niecierpliwie, a spiorunowany wzrokiem Bociankowskiego rynek na niesfornych przybyszów: — Moi drodzy, teraz nie wasza odprawa, opuśćcie nam tychmiast salę obrad! Tutaj ważna konferencja...

Chłop, czerwony na twarzy, spytał ze zdziwieniem:

— To niby młoci nie będzie? Odstawij zboża nie będzie?

Któryś ze sołtysów parsknął śmiechem, po salce poszły wesołe szepty. Odważyłem się podtrzymać

Maszynowy posiada cztery gotowe do pracy agregaty młocarniane...

— No, tak... — wtrącił nagle chłop czerwony na twarzy.

— Młocarnie są, ale bez motorów spalinyowych. Motory są zepsute...

— Jako? — oburzył się Bociankowski i wlepił oczy w Jakubczyka.

Patrzyli tak przytłoczony jeden na drugiego, mieląc bezgłośnie wargami, jakby prowadzili w milczeniu jakąś arcyważną dysputę. Duszna sala, wypełniona dymem tytoniu, czekała o niemiłą, aż te ich rozmowę zbierze ktoś w garść i wyrzuci za okno. Pierwszy opamiętał się Bociankowski. Pochylił czoło, pocięte bruzdami oburzenia i biorąc za łokieć siedzącego obok kanceli-

— Proszę zaprotokolować co podyskutuj — a kiedy tamten zniechęcony z łokciem w rękę, wyrzucił jednym susem: — Nieujawnioną sprawę agregatorów młocarnianych rozpatrz natychmiast gminna komisja omlotowa. Wszelkie szczegóły omówia jej członkowie na specjalnie zwołanym przez sie-

bie posiedzeniu. Wykonanie meldowa-

— Meldować? — zdziwił się głośno kancelista, drapiąc się obłokiem w głowę. — Kto ma meldować? Przecież, panie sekretarzu, u nas takiej komisji nie ma. Trzeba by najpierw zarządzić jej powołanie. Dla porządku w aktach...

Sekretarz spłonął rumieńcem i głosem cichym zaczął się rozwozić nad niedopatrzonymi czynnikami podrzędnych, które, nie wylaczając obecnego tutaj na konferencji delegata CUSiK-u Jakubczyka, swym bezdusznym ustosunkowaniem się do spraw społecznych, zaśmiecają wzorowo utrzymane podwórko GRN, działając w ten sposób hamując na całokształt zagadnień natury gospodarczej. Owe żółbia stomy, które rozrzucają pełnymi garściami po wyżej wymienionym podwórku, on, Bociankowski, sam nie nadaje wybierać, gdyż siły stracone na służbie dla społeczeństwa nieraz już odmawiają posłuszeństwa, co musi przynieść samokrytycznie.

Oto inny jakiś sołtys, wysoki jak tyczka, korzystając ze sprzyjającej c. vili milczenia, oświadczył śmiało:

— Nasza gmina, pożał się Boże, zalega za rok ubiegły z odstawa 84 ton zboża. Tak jest w papierach pana CUSiK-a. I co gorsze, prezydium GRN nie złapało kulaków za kudy nie zmusiło do odstawy takiego bogacza Władysława Olejnicka z Chrzastkowa, który zalega ze sprzedażą 5.174 kg ziarna, czy Mieczysława Machnikowskiego, co to winien jest państwu przeszło 4 tys. kg. Dlaczego my, chłopcy biedniackie i średniackie, możemy odstawić? Dlaczego obywatel sekretarz nie poprze nas, kiedy domagamy się ukarania tych drani? Dlaczego?

Uczestnicy konferencji zapadli w głębokie milczenie, z którego nie wiadomo kiedy uciec. Kanonizowany przez Jakubczyka i na bohatera naszych czasów, a obecnie z minuty na minutę bezwzględnie detronizowany przez sołtysów, sekretarz Bociankowski posmuniął.

Oto mamy najlepszy przykład — Bocianowski powstał — jak niewłaściwie podjęta dyskusja sprowadza nas w ślepe zaułki Zmitycie się sołtysie! — grzmotnął pięścią w stół. — Miećcie wzgląd na ważność tej konferencji... Konferencji prasowej — podkreślił z naciskiem. — Oddaję głos naszym drożym gościom, Kochanej prasie.

Powstałiśmy z miejsc i kierując się w stronę drzwi za sołtysami, oddaliśmy po drodze szereg oficjalnych ukłonów pożegnalnych. Odyskaliśmy głos dopiero na łamach swych gazet.

Zawiadamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze więcej i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

Jaki dać tytuł tej historii?

W Garlinie, gm. Grudusk, w powiecie ciechanowskim jest szkoła podstawowa. Szkoła korzysta z lokali wynajętych od gospodarzy. Jeden z lokali wynajął szkole ob. Wiśniewski Piotr. Za ten lokal Gmina Rada Narodowa w Grudusku płaci ob. Wiśniewskiemu Piotrowi 220 złotych kwartalnie, czyli 880 zł rocznie. No, i wszystko w porządku, powiecie. Należy się. Owszem, mielibyście rację, gdyby... Gdyby właśnie w lokalu wynajmowanym przez ob. Wiśniewskiego okna były dobre, dach cały i podłoga bez dziur. Ale jest akurat przeciwnie: okna zgnily i świecą dziurami dach przecieka jak sito, a w podłodze dziury i szpary dogodne tylko dla szczurów i myszy...

Naprawić, powiadacie? Oczywiście. Innej rady nie ma. Jak tylko naprawić. Ale ob. Wiśniewski nie wie, kto to ma zrobić. Jako przewodniczący Prezydium Gminnej Rady Narodowej głosi się i głowi... Ani rusz nie może rozwiązać tego problemu. Czynsz w sumie 220 złotych kwartalnie, to wiadomo — dla niego, ale kto — u licha — ma remontować budynek? Tego nie może rozwiązać nikt. Może pomoże ktoś ob. Wiśniewskiemu rozkwilić te niezwykle zawiłą sprawę? Jedno jest wiadome: za dwa tygodnie początek roku szkolnego i dzieci przyjdą na naukę do szkoły. I bardzo będą ciekawe zobaczyć, jak też w nowym roku szkolnym wyglądać będzie ich klasa... I dzieci ob. Wiśniewskiego też przyjdą. Ale będą biedactwa wstydziły się za tatusia... I za Komitet Rodzicielski także.

Myślimy jednak, że tego wszystkiego nie będzie, bo lokal będzie jak cacko. A może już nawet tak wygląda. Zyczynmy pomyślnego załatwienia sprawy nie trudnej, a tak bardzo ważnej!

Franciszek Strojowski

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 752-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji: 751 80. dot. wewnętrzny 91, 93
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-24248